

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o. 188.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 2 maja 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU. — Kronika tygodniowa. — Konie arabskie (z dwoma drzeworytami). — Korrespondencye Tygodnika Ilustrowanego. — Brzeg miasto w górnym Szląsku (z trzema drzeworytami). — Książd Piotr Skarga (dokończenie). — Jarema (dalszy ciąg). — Przegląd polityki zagranicznej. — Szachy. — Rebus.

Kronika tygodniowa.

W zeszyt tygodniowym Kurjerze niedzielnym redaktor oświadcza, iż nie będzie przyjmował listów bezimiennych, zwłaszcza obwiniających osoby pojedyncze, dopóki nie będzie wiedział od kogo jest list i czy obwinienie jest słusznym.

Przyklaskuję z całego serca temu postanowieniu do-
wcipnego sprawozdawcy warszawskiego, który z własnego zapewne doświadczenia przekonał się, jak często mściwi i złośliwi ludzie obierają pisma publiczne za pole do rzuca-
nia potwarzy na kogoś.

Pomiędzy li-
cznymi korre-
spondencyami
jakie odbieram,
wiele bardzo
znajduje się
bezimiennych,
niemal za ta-
kich, co wyty-
kają pojedyncze
nadużycia. Jak-
kolwiek nader
ostrożny jestem
w przyjmowa-
niu tego rodzaju
korrespon-
decyj, zwłaszcza
gdy doniosłość
wytykanego
złego w szczu-
płym tylko za-
myka się kółku,
a wnicząc pra-
wie nie doty-
ka sprawy pu-
blicznej, kilka
razy jednak w
długim moim



zawodzie sprawozdawczym zdarzyło mi się być w błąd wpro-
wadzonym. I stało się to pomimo zasady jaką przyjąłem,
sprawdzania na miejscu (jeżeli to jest rzeczą możliwą) wszel-
kich doniesień o jakichkolwiek nadużyciach. Wprowadzie w ta-
kich razach pospieszałem zawsze oddać hołd prawdzie i od-
wolać fałszywe obwinienie, zawsze przecież bołało mnie to
niepomatu iż ludzie niewinni doznali przykrości przezemnie,
albo przynajmniej za po-
średnictwem mojem.

Lecz nie lękajcie się, czy-
telnicy! To com tu napi-
sał nie jest wstępem do za-
dnego sprostowania, zwy-
kle niebardzo zabawnego ani
dla piszących, ani dla czy-
tających; chciałem tylko za-
mieścić tę parę

słów, jako wytłumaczenie się
przed korre-
spondentami,
których do-
wcipnych li-
stów nieraz na-
wet nie umie-
szczam. A czy-
nię to dlatego,
iż nie jestem
dostatecznie
przekonany o
wiarogodności
tych zwłaszcza
korrespon-
dów, co nazwi-
ska swojego
dla wiadomo-
ści chociażby
wyłącznie tylko
mojej nie pod-
pisują pod li-
stem. Wszakże
należałoby u-
czynić przynaj-
mniej to dro-
bne ustępstwo
dla sprawozda-
wcy, którego
naraża się na
odpowiedzial-
ność za podane
twierdzenia.

Bo i jakżeż bezimienny może żądać żeby przywiązywano wiarę do słów jego? Podpis w takim razie jest pewnym rodzajem zaręczenia, zwłaszcza kiedy pochodzi od osoby znaniej, i on tylko jeden wzbudzić może ufność.

Że jednak redaktor pisma, albo sprawozdawca znajduje się często w bardzo przykrém położeniu, o tём nie należy wątpić. Mniejsza już bowiem o tych, których reklamacye mają jakibądź pozór słuszności, ale zdarza się nieraz, że najniewinniejszy artykuł wywołuje gniewy ze strony osób, o których piszący nie mógł wcale myśleć, bo ich nawet nie znał. Przypominam sobie że jeden z najplodniejszych powieściopisarzy naszych parę razy musiał zaręczać najsołennie, że nazwiska osób wchodzących do jego opowiadań są zmyślone przez niego, bo przypadkowy zbieg liter, podobieństwo brzmienia, naprowadzały pewne osoby na domysł, że piszący miał je na myśli i chciał im dokuczyć przez wystawienie ich w złém świetle. Dzięki Bogu, literatura u nas, oprócz rzadkich wyjątków, nie przybrała jeszcze tej formy, która żyje z osobistości i w obmowie, plotkach, skandalu publicznym szuka dla siebie żywiołów. Taki Figaro nie istnieje u nas i nie mógłby istnieć. Zbyt wiele mamy jeszcze do wytykania niedostatków ogół obchodzących, żebyśmy w czyjś tam osobistości mieli szukać treści do popisywania się ze złośliwością i łatwym dowcipem. Dla piszącego najtrudniejszym skopułem do przełamania jest właśnie ta granica pomiędzy osobistością a kwestyami ogół obchodzącymi. Nie przeczę że wydarza się wiele zdrożności pojedynczych, które należy wytknąć dla korzyści wszystkich; w takim razie głos obowiązku, przemawiający do sprawozdawcy, powinien być silniejszym od wszelkiej oględności albo chęci oszczędzenia tego lub owego. Żałować nawet przychodzi, że w takich razach zwyczaj nie pozwala u nas wyjawiać nazwiska i miejscowości, w wielu bowiem wypadkach byłoby to potrzebne, konieczne nawet.

Zanim jednak przejdę do faktu który spowodował powyższe moje odezwanie się, wybaczą czytelnicy że zasięgnąwszy dawnych wspomnień, opowiem im dość oryginalny wypadek jaki mnie się osobiście wydarzył, a mający pewną styczność z dzisiejszym mojem uzalaniem się na kłopoty pisarskie. Mogę zaś śmiało dotknąć tego przedmiotu, bohaterka bowiem wypadku, której zresztą płaszc bezimienności pozostawiam, nie żyje już oddawna i wątpię żeby ktokolwiek mógł się z opowiadania mojego domysleć o kim mowa.

Onego czasu wydawałem pismo.

W piśmie tём drukowane były prace autorów znanych i nieznanych.

Owóż jeden z moich znajomych przyniósł mi raz powiastkę do umieszczenia.

Ponieważ powiastka była dość zręcznie napisana, zapytałem się oddawcy o nazwisko autora.

Nie autor to był, ale autorka, powieść bowiem napisała pewna młoda dama, której kilka już utworów wcale udatnych pisma publiczne drukowały.

Wiadomo zapewne czytelnikom, że miłość własna, która pomiędzy ludźmi niemalą w ogóle gra rolę, u autorów, a zwłaszcza u autorek, do wysokiego posunięta jest stopnia.

Znałem ja dobrze tę ogólną przywarę naszą, a ponieważ powieść nadesłana mi została bez żądania za nią zapłaty (takie gratki zdarzały się podówczas dość często pismom naszym), sądziłem że uczynię przyjemność piszącej, jeżeli wszystkimi literami każę wydrukować nazwisko jej pod ową powieścią.

Ani bowiem domyslała się czytelnicy jaki ma charakter urok dla poczynających autorów, podpisywanie ich nazwisk pod pracami ogłoszonymi drukiem. Niestety! anonimy nie zawsze bywają zbytnej skromności dowodem.

Zapomniałem powiedzieć, że ponieważ nie znałem osobiście tej damy która mieszkała na prowincyi, nie mogłem skomunikować się z nią celem zyskania przyzwolenia na ten podpis. W każdym jednak razie sądziłem że autorka nie będzie miała nic przeciwko temu, że owszem zyskam wdzięczność za przekazanie jej potomości.

Siedziałem więc raz w swoim pokoju przed stolikiem, zatrudniony najniewdzięczniejszą i najnudniejszą pracą jaką kiedy cywilizacja ludzka wymyślić mogła: rewizyą nowowychodzącego numeru.

O bo wy nie wiecie, szczęśliwi czytelnicy, co to są korekty i rewizya. Dant kiedy opisywał potępieniów swoich w piekle, zapomniał tam pomieścić redaktora odczytującego korekty i rewizyą swojego pisma. Kiedyś opowiem wam to i wierząc mi, włosy wam na głowie powstaną, skoro się dowiecie o męczarniach, jakie każdy numer przygotowujący się do druku wprowadza na nas.

Siedziałem więc, męcząc się nad ową rewizyą i przeklinając przemysł ludzki, który dotąd nie wynalazł maszyny na jej odrobienie, kiedy nagle usłyszałem lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę wejść, rzekłem.

I wsunęła się do pokoju jakaś postać kobięca, ale tak owinięta mantylką, kapeluszem, welonem i temi wszystkimi przyborami, po za którymi kobiety tak doskonale umieją ukryć swoje twarz, wiek i postawę, że ani podobna mi było odgadnąć kto ona, stara czy młoda, piękna czy brzydka, panna czy prababka.

Powstałem z miejsca i skłoniwszy się podałem jej krzesło.

Usiadła.

Przez chwilę pozostaliśmy w milczeniu; ja czekałem na pierwsze jej słowo, a ona widać nie wiedziała od czego zacząć.

— Zapewne dziwił się panu moje odwiedziny, rzekła nareszcie, i to o tak niezwykłej porze (była to bowiem dziewiąta zrana); ale dlatego właśnie wybrałam tę godzinę, żeby nikogo u pana nie zastać.

Znowu przestanek. Zdawała się przez chwilę namyslać; aż poczęła mówić dalej:

— Pan jesteś redaktorem pisma.....

— Tak jest pani.

— Pan drukujesz w tём piśmie powieść pod tytułem.....

— Zaczęła się już od tygodnia.

— Pod tą powieścią podpisane jest nazwisko autorki. Nie możnaby wiedzieć od pana, czy pan zyskałeś jej upoważnienie na to?

— Nie mam tego upoważnienia, odrzekłem; sądziłem jednak iż się mogę w tym względzie sam rozstrządzić, powieść bowiem, o której mowa, napisana jest z wielkim talentem i zaszczyt tylko przynieść może osobie z pod której pióra wychodzi.

— Nieobcém zapewne jest panu, że jeżeli autor chce ażeby nazwisko jego znanem było publiczności, to podpisuje je pod swoim utworem; w przeciwnym razie należałoby zastosować się do jego woli i zachować tajemnicę. Mogą czasem istnieć powody, które wyjawienie nazwiska autora czynią niepodobnem.

Nie było co odpowiedzieć na to; skłoniłem się więc w milczeniu.

— Tutaj właśnie zachodzi ten wypadek, ciągnęła dalej dama i wyjawiając to nazwisko, pan wyrządził nie małą szkodę osobie o której mowa, a nawet naraził ją na niebezpieczeństwo.

I powiedziawszy to, a znajdując widać niepotrzebnem dalsze zachowanie incognito, odkryła welon.

Wystawcie sobie.....

Ale nie będę wam opisywał jej twarzy, dla nieodstępowania od zasady zachowania tajemnicy, którą przyjąłem rozpoczynając to opowiadanie. Dość powiedzieć że była młoda i piękna.

— Jestem, mówiła dalej, bardzo blizką... przyjaciółką autorki tej powieści i z jej polecenia przychodzę tutaj.

— Słucham rozkazów pani, odrzekłem.

— Wiadomo panu że przyjaciółka moja jest zamężną, a więc zależną pod pewnym względem. W tej powieści która jest... czystym tylko utworem imaginy, cała intryga zależy na opisanu stosunków kobiety zamężnej z młodym człowiekiem, który się kochał w niej przed ślubem i z którym przemocą rozdzielona została.

— Tak jest pani, i właśnie prawda z którą skreślone są te uczucia, jest największym dowodem talentu autorki.

— Być bardzo może, ale tu właśnie zachodzi trudność, którą nie wiem jak panu mam objaśnić. Jako redaktor, czytałeś pan powieść i znasz jej rozwiązanie. Otóż w tём walce uczuć.....

— Kobięta słabnie, dodałem.

— Niestety, tak jest, odrzekła. W utworze imaginy nie razi to; ale gdyby treść utworu wzięta była z rzeczywistego życia..... Jednem słowem, żądam od pana żebyś wręczył mi tę powieść; ja na kilka dni przesyłę ją mojej przyjaciółce, a ona poczyni w niej zmiany konieczne.

— Ale czyliż to podobna? zawołałem. Każde pismo ma swoje wymagania. Utwór raz zaczęty w feljetonie, musi się ciągnąć dalej. Taka przerwa w najciekawszym miejscu gniewa czytelników i może wielu z nich odstręczyć.

— A jednak trzeba koniecznie tak uczynić i pan musis (położyła nacisk na ten wyraz) dopomódz przyjaciółce mojej do wyjścia z fałszywego położenia, w które pan sam ją wprowadził.

— Ależ proszę pani, nie pojmuje....

— Chciejże pan zrozumieć, przerwała, zapominając trochę o udanym spokoju, z jakim dotąd prowadzi-

ła rozmowę, że jeżeli przychodzę do pana, ważne mnie do tego skłonić musiały powody. Wypadek jest rzeczywisty, osoby znane, zanadto znane może, a podpis, który pan samowolnie położyłeś pod powieścią, jest kluczem do odkrycia wszystkiego. Jeżeli pan więc nie chcesz ażeby na jego sumieniu ciążyła odpowiedzialność za smutne skutki jakie z tego mogą wyniknąć, zastosujesz się do mojej prośby. Jest to jedyny sposób załagodzenia złego, jeżeli ono może być załagodzone.

— Muszę przecież wiedzieć na czém zależeć będą te zmiany?

— Zrobi się inne rozwiązanie. Młody człowiek, zaświadczony w swoich uczuciach i przyprowadzony do rozpaczyny....

— I cóż ten młody człowiek?

— Popelni samobójstwo, kończyła dama uśmiechając się i będzie sens moralny jakby w jakimś przysłowiu Feuillet'a albo komedyi Augier'a.

— Ależ takie rozwiązanie zupełnie niezgodnem jest z początkiem powieści i zepsuje całość.

— Jest ono jednak koniecznem, powiadam panu, i musisz pan na nie zezwolić.

I cóż wam powiem dalej, czytelnicy? Bronilem się bohaterko, ale musiałem uleść. Powieść została przerwaną; trzeba ją było na kilkanaście dni zastąpić czém innem, a cała intryga rozwiązała się według wskazania tej damy, na czém utwór stracił niemało, ale autorka może zyskała. Nie potrzebuję tu dodawać, że owa niby przyjaciółka, była właśnie osobą najbardziej w tём zmianie intrygi powieściowej interesowaną. Zdarzyło mi się kilka razy spotkać ją w późniejszym czasie, choć nigdy ani ja ani ona nie wspomnieliśmy o tych odwiedzinach; o ile mi jednak wiadomo, ustępstwo jakie wytargowała na mnie, pomysłny odniosło skutek.

A teraz, po tём małej wycieczce w przeszłość, wracam do bieżących rzeczy.

Jak wiadomo, bardzo mało w tём chwili robi się interesów; nie przeszkadza to przecież temu, że tak zwanych pośredniczących w interesach wielka liczba obecnie jakby z pod ziemi wyrasta. Mrowią się oni do nieskończoności. Co chwila czytamy w ogłoszeniach dzienników o otwarciu domu kommisowego, który się podejmuje wykonywać wszystko, począwszy od stręczenia służących, aż do kupna i sprzedaży dóbr i domów. Na każdej ulicy jest kilka takich domów i podają one co chwila sążniste spisy oddawanych sobie do załatwienia spraw różnego rodzaju. Doprawdy, więcej daleko jest tych pośredniczących, aniżeli kupujących i sprzedających.

Z tego jednak wypływa koniecznie, że ponieważ pośrednicy ci żyć muszą z interesów, a interesa niezawsze się zdarzają, muszą więc oni często tworzyć je sobie własnym przemysłem, nieraz ze szkodą drugich.

Jak się zdarzyło niedawno.

Pewien obywatel posiadał tu w Warszawie dom wartujący kilkakroć sto tysięcy złotych polskich.

Dzisiaj domy przedstawiają najlepsze może pomieszczenie na pieniądze, zapewniając stały i niezawodny dochód; mnóstwo też kapitalistów ubiega się o ich kupno.

Do obywatela więc tego zgłaszało się wielu mających chęć kupna; ale nie przyjmował ich, nie będąc w zamiarze sprzedaży.

Interes jednak kilkakroć stotysięczny, to łakoma rzecz dla pośredników, którzy zyskują spory procent za gadanie tylko i namawianie obu stron do zgody.

Postanowiono więc postawić na swoim i wzięto się na następujący sposób.

Wynaleziono jakieś dobra, o wielkiej fikcyjnej wartości, i zaproponowano rzeczonemu obywatelowi zamianę z dopłatą. Interes na oko wydawał się dobry, gdyż cena za dom ofiarowana była bardzo wysoka.

Ponieważ obywatel ów, nie będąc z powołania gospodarzem wiejskim, nie wierzył w dobra i nie chciał niemi się obciążać, jeden z pośredników, udawszy się za bogatego kapitalistę, dał przyrzeczenie kupienia tych dóbr za cenę w zamianie oznaczoną, na pewność czego złożył nawet w trzecie ręce kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich jako wadium.

Naturalnie interes, w tak dobrym przedstawiony świetle, prędko przyszedł do skutku.

Po dopełnieniu jednak przed regentem aktu zamiany; mniemany kapitalista, zdolawszy część złożonego wadium wycofać, znikł bez śladu.

Wtenczas dopiero, obywatel spostrzegł podstęp którego stał się ofiarą; dobra bowiem owe składały się z pustek i wydmuchów piaszczystych niezdatnych do użytku, a dom już był sprzedany i hipoteka jego w tёмże samym dniu obciążoną została znacznymi summami, przechodzącymi połowę jego wartości.

KONIE ARABSKIE

W WARSZAWIE.

Dzisiaj sprawa ta toczy się przed sądem, sąd przeto wyrzeczy o prawności sprzedaży; do nas jednak należało podać do wiadomości publicznej ten wypadek, żeby ostrzedz osoby interesowane, jakich to podstępów używają tak zwani pośrednicy, ażeby dojść do swojego celu.

Najlepiej więc jeśli bez nich obejść się można; oszczędza to w każdym razie dużo czasu i pieniędzy, a często bardzo gorzkich zawodów.

Trudno uwierzyć do jakich cen doszły obecnie u nas rzeczy do zwykłego ubrania służące. Wszystko w dwójnasób podrożało. Mało kto wprawdzie kupuje, ale ten co zmuszony jest jaki sprawunek robić, płaci i za siebie i za tych, którzy przez ten czas powstrzymywali się w wydatkach.

To mi przypomina, że kiedy w jednej z najbardziej uczęszczanych tutejszych restauracji zapytałem raz dlaczego za porcją sztuki mięsa bez żadnych dodatków, której rzeczywista wartość wynosi dwadzieścia groszy, policzono dwa złote w cenniku, właściciel zakładu odpowiedział mi:

— Alboż pan płacisz za siebie tylko. Pan płacisz za wszystko mięso co mi się marnuje, za tych którzy stołują się u mnie na kredyt na długie terminy i od których procent mi przepada, za tych wreszcie, co wcale mi nie płacą i od których nigdy już grosza nie dostanę.

— A dlaczegoż zawierzasz pan takim, odpowiedziałem, a pewnej liczbie gości płacących każesz znosić cały ciężar niezręczności innych?

— Bo trzeba żeby handel szedł, odpowiedział restaurator. Ja liczyć mogę na połowę tylko gotowych pieniędzy które należą się mojej kasie.

To oszczędne liczenie nie przeszkodziło mu jednak zarobić w kilku latach milion.

Rozumowanie takie nie usprawiedliwia wcale w moich oczach zbytniego podnoszenia cen, i dlatego mam za złe kupcom, że na kilku koniecznie potrzebujących zaglądać do ich sklepów, starają się odbić w obecnej stagnacji handlowej. Wyrachowanie to wydaje mi się mylnem. Zbytńia drożyzna tam tylko utrzymać się może, gdzie zarazem istnieją sposoby taniego zaspokajania potrzeb dla tych, co nie mają pieniędzy do wyrzucenia. Ale u nas w pierwszorzędnych czy drugorzędnych sklepach, wszędzie wszystko w najlepszym gatunku, i za ten najlepszy gatunek każą nam ogromne płacić sumy. Nawet już starzyzna sprzedawana u starozakonnych nosi nazwę londyńskiej i paryskiej. Do czego to dojdzie!...

Dowiadujemy się z prawdziwą przyjemnością, że zeszlotygodniowa odezwa nasza do właścicieli domów cyrkułu I, o wynajęcie stosownego lokalu dla ochrony pod nazwą księdza Baudouin, odniosła już skutek pożądaný. Szanowny opiekun tego zakładu zawiadomił nas listownie, że pan J. K. majster stolarski odnajął mu w tym celu na Dominikańskim przy ulicy Starej obszernej salę, mogącą wygodnie pomieścić nie tylko 130, jak dotąd, ale 200 dzieci; lokal zaś potrzebny dla nadzoru wyznaczył ks. przeor zakonu dominikanów. „Będziemy nawet mieli ogródek, pisze z serdeczną radością opiekun ochrony, rzecz niesłychana w tamtych stronach, szanowny bowiem przeor pozwolił urządzić go na dziedzińcu.“

Szczęśliwi jesteśmy że głos nasz przyczynił się choć w części do pomyślnego ukończenia tej sprawy; lecz (jak to zwykle bywa) zachęcenie powodzeniem, radziliśmy teraz otrzymać jeszcze więcej. Sala przeznaczona na ochronę jest wielka i wygodna, ale nieco przyciemniona; obok zaś znajduje się druga równie obszernej a widna, którą pan J. K. dla siebie podobno zatrzymuje. Czyliżby zacny ów obywatel, co z tak serdeczną gotowością najgwałtowniejszej zarządził potrzebie, nie zechciał uwięzić pocziwie zaczętego dzieła, odstępując ochronie salę widniejszą? Wszak w tym zakładzie chowa się i krzepi młode pokolenie miejskie, — a wcale te roślinki tak potrzebują opieki, światła i słoneczka! — Szlachetne to wyrzeczenie się własnej wygody, dla dobra dzieci, prawdziwą przed Bogiem i przed ludźmi zjednałoby mu zasługę.

OD REDAKCYI.

Ponieważ, jak się obecnie dowiadujemy, zamieszczony w N. 175 Tygodnika Illustrowanego rysunek do przyszłowieja p. n. „Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi“, wywołał posądzenie, jakoby niektóre z pomieszczonych tam typów były portretowane, — przeto redakcja oświadcza, że nie było ani jej własnym, ani artysty-rysownika zamiarem dotykać osób, lecz jedynie ogólnych wad społeczeństwa, podobnie jak to uczyniła w kilku już poprzednich przysłówiach, i że jeżeli w rysunku rzeczonym jest jakieś podobieństwo, to chyba zupełnie przypadkowe.

Legenda arabska mówi:

„Kiedy prorok Mahomet, w początkach rozszerzania swęj nauki, uciekać musiał przed zawziętymi wrogami, unosząc życie, dosiadł swęj klaczy doświadczonęj, mając nadzieję, że w jej szybkości znajdzie ratunek.

„Nie zawiodła go ta nadzieja. Jakkolwiek Arabowie gonili go na rączych koniach, dzielna klacz jego nie dała się prześcignąć; przez trzy dni unosiła proroka, pogoń strudzona ustała, a Mahomet między górami znalazł bezpieczne schronienie.

„Klacz proroka, będąc żrebną, porodziła z wielkiego wyteżenia, trzema dniami przed czasem właściwym, żrebię jednak żywe.

„Mahomet, nie mogąc dłużej nad trzy dni spocząć w tém schronieniu, gdzie klacz żywiła się tylko trawą, umyślił wziąć żrebię na siodło, pewny że inaczej nie wydaży za matką. Z wielkiem jednak zadziwieniem dostrzegł, że równo biegnie, dotrzymując kroku, i zamiast upadać, krzepi się coraz i rzeźwieje.

„Przybywszy w miejsce bezpieczne, podziękował Bogu za ocalenie i wtedy powziął myśl, z tak dzielnej klaczy i żrebięcia wychować ze szczególną troskliwością nowe pokolenie. Od tej klaczy i tego żrebca ród swój wiodą tak zwane *Saglavi* (1), najszybsze, najwytrzymalsze i najwspanialsze araby.“

W roku bieżącym pojawiły się w Warszawie dwa oryginalne ogiery arabskie i klacz; jest to nowość, która już dawno u nas nie była widziana. Dotychczas widywaliśmy niekiedy konie piękne z krwi arabskiej, ale nie prawdziwie oryginalne. Znawcy chwaliły je niezmiernie, wszystkie bowiem są wielkich zalet i wysokiej wartości.

Ogier mniejszy *Abejan*, gniady, wytwornego kształtu, z głową małą, pięknem zagięciem szyi, pięknymi oczyma, otwartymi chrapami, śliczną piersią, więziasty, z dobrze zaokrąglonemi żebrami, udziem gładko spuszczoneym, piękną odsadą ogona, na dobrych nogach. Odnacza się szczególniej wydatnemi ramionami przednich nóg, silnemi skokami zadnich i do wzrostu swego bardzo szerokimi goleniami; przytém krótką pęciną i wogóle z ładnego kształtu nóg jest chwalony.

Drugi ogier większy, *Saglavi*, od legendowej klaczy proroka ród swój wiodący, skarogniady, którego rysunek przedstawia, więcej ma życia, więcej fantazy i okazałości. W stajni przy żłobie mniejszym się wydaje, ale wyprowadzony, gdy go jeździec dosiedzie, zaraz go tak przybiera, że wcale rosłego konia pokazuje. Ruchy ma piękne i wspaniałe, dzielnie się na zadzie osadza i śliczną ma odsadę ogona. W każdym ruchu gracja i siła wydatna, a wyniosłość szyi dziwnie piękna, robią go dzielnym wierzchowym rumakiem.

Klacz *Hamra*, maści karéj, z rasy szlachetnej *Saglavi*, na oko zapowiadająca szybkość i łatwość w biegu, dobrze i kształtnie zbudowana. Długość proporcjonalna, jak zwykle u klaczy arabskich, które bywają dłuższe od ogierów. Krótkie ma pęciny, (co rzadko się zdarza u koni szlachetnych), i to właśnie stanowi te miłe ruchy pod siodłem, któremi się arabskie konie odznaczają. Pod jeźdźcem bowiem dopiero można widzieć wszystkie ich cudne zalety.

Ogiery pochodzą z okolic Mekki, klacz zaś ze stada sławnego El-hami baszy, syna Abassa baszy Abissynii, która to stadnina po śmierci jego sprzedana była w Szubra około Kairu.

Wiele koni kupiono wtenczas do Hiszpanii, Francji, Włoch, Austrii, Anglii i Prus. Czy dla naszego kraju korzystano z tej sposobności, nie wiemy.

Dawne polskie konie pochodziły z arabskich. W narodzie naszym upodobanie w dzielnych koniach było powszechnem; pieśni ludu i podania historyczne, potwierdzają to zdanie.

Każmirz Wielki zaprowadził stada w Wielkiej Polsce, lecz nie mamy wiadomości o szczegółach rozporządzeń jego w tej mierze. (2) Koniuszy nadworny Zygmunta Augusta, Adam Miciński, w dziele swoim: „O swierzopach i ograch 1570 r.“ pisze, że stada nazywające się *księżce* składały się z arabskich, tureckich i perskich ogierów, a klaczy polskich. Mówi że prócz stada tego króla, niema pewnego rodu koni w Polsce; że w niém tylko pilnowano krwi arabskiej. Dla tej stadniny sprowadzał Mikołaj Radziwiłł, szwagier Zygmunta Augusta, ogiery i klacze z Archipelagu. Instrukcja dana w r. 1558 przez tegoż kró-

1) *Saglavi* znaczy właściwie po arabsku: „między górami.“

2) T. Czacki: O litewskich i polskich prawach, T. 2.

la do rozmnożenia stad w ekonomicznych dobrach, nacechowaną jest niepospolitą światłem. Z wygaśnięciem rodu Jagiellów, zniknęły przepisy i przykłady publicznego gospodarstwa. Ponieważ statuta polskie i litewskie całą powagą swoją osłaniały grabież stadnin królewskich i książęcych, przeto Adam Miciński, w pomienionem wyżej dziele, tłumaczy jasno powód tych ustaw prawnych: że gdy stad utrzymywanie nie tylko jest źródłem korzyści dla partykularnych, ale staje się niezawodnie pożytecznem dla kraju, zatem od pospolitej grabieży dlatego wyjęto stadniny, aby uszkodzonymi nie zostały. (1) Henryk Walezy korzystał ze stajni Zygmunta Augusta w swęj ucieczce z Polski: unosił go od hyżej pogoni klacz kara arabska.

Stefan Czarniecki na czystej krwi arabskiej wierzchowcu odbywał swe wyprawy, przepływał rzeki, i koń ten, wierny towarzysz wodza, padł z tęsknoty po śmierci swojego pana.

Konie arabskie zwano u nas *tureckimi*, albo *tur-skimi*, bo Arabia dostarczała Turcyi jedynie najdzielniejszych pod wierzch rumaków.

Przewaga i siła wojska polskiego polegała na jeździe. Szlachta nie lubiła pieszej służby; ztąd pierwszy ślad regularnej piechoty widzimy dopiero za Stefana Batorego. Prócz tego wyścigi konne w XV i XVI wieku były u nas pospolitsze niż teraz w Anglii, chociaż nie tak wystawne i nietyle może kierowane osobliwą namiętnością lub dumą narodową. Każdy zamożniejszy obywatel miał swoją stadninę i z niej dochowywał się dzielnych wierzchowców, *zawodników*, do posługi, wyścigów i boju przydatnych. Często doświadczano w gonitwach ich przymiotów: każdy koniuszy, *kalwakator* (ujeżdżacz), masztalerz, musiał być z wprawianiem ich w zawód obeznaný. Kto zna tę troskliwość naszych przodków w chowaniu koni, nie zadziwi się że zbrojna rota pancerna ubiegała na godzinę *cztery mile polskie*, że za buławę hetmańską Jana Sobieskiego, ciężka jazda hussarska robiła na Rusi Czerwonej *po dziewięć mil polskich* dziennie, w pogoni za Tatarami.

W dziele nieznanego lekarza, wydanem przez Marcina Siennika w r. 1564, znajdujemy szczegółowe przepisy przygotowywania konia do wyścigów. Autor tej księgi wielce zajmującej był nadwornym lekarzem panów Pileckich, i spisał ją jeszcze przed koronacją króla Aleksandra Jagiellończyka. Rękopis ten Pileccy w skarbie swoim zarówno troskliwie jak klejnoty przechowywali.

Posłuchajmy co pisze w tym przedmiocie stary ów lekarz.

„Gdy konia w zawód chcesz wprawić, abyś z nim dokazywał, tedy go tak wprawiać pocznij. Daj mu przez dwie niedziele jeść świeżą *rzana* (2) słomę i owsa mu nie skąp ile zjeść może, ale wszystkiego daj mu chędogo. Oprawdaj go po ranu i w wieczór, a daj mu się trzeć: wiedz go potem w wodę ciekącą, aż mu do pół boków dosięże; a to czyn w zaranie i w wieczór i przywiódź go do domu, zagrzej z masłem piwa albo octu i tēm mu nogi wymywaj. Maż go też przez ten czas często, przynajmniej przez trzeci dzień.

„Gdy zaś już dzień przed biegiem będzie, daj mu owsa surowego, w dobrém winie namoczywszy, a z godzinę przed biegiem daj mu przysmarniającem namoczonego w dobrej *malmaży* (3), albo w mocném winie. W chwili gdy go do kresu wiedziesz, daj mu siana, pokropiwszy winem, a nogi mu i lędźwie obmyj gorzałką, a gdy siano zje, spal grzanek chlebową i zetrzyj ją na proch w donicy z dobrém winem albo malmażą rzadko. Wleż mu to w gardło nim go ze stajni wywiedziesz; nadto nakrajawszy *galganu* (4) i *dziewięcisiłu* (5) zawiąż w chustkę, przywiąż do wędzidła i napryskaj mu piórem w nozdrze imbięru rozmąconego w dobrém winie.

„Niektórzy co w czary wierzą, albo się ich boją, tak się w tej chwili sprawują: wiażą koniowi w grzy-

1) Dzikie konie mieliśmy w licznych stadach. Do r. 1770 widywano je jeszcze w lasach litewskich. Statut litewski (rozdział XIII, o polowaniu, art. 2.) oznacza cenę dzikiego konia. Miciński pisze, że czyniono doświadczenia za Zygmunta I, iż żrebię male, od koni dzikich złapane, należało do stada królewskiego; lecz nawet na żrebiętach w drugim pokoleniu widzieć było można ogromną różnicę między dzikim a wychowanym koniem. Za Zygmunta III, stada dzikich koni po puszcach pruskich i żmujdzkich bujały licznie.

2) Jęczmienna.

3) Wino greckie zpod miasta *Napoli di Malvasia* w Morei, albo wino z wyspy Kandyi, ztąd zwane u nas *vinum graecum*.

4) *Galgan*, ziele aptekarskie: *Maranta Galanga*. W dawniej Polsce używano tego ziele do zaprawy wódki, którą częstowano na uroczystości chrzczeń i wesel. Wódkę taką zwano *galganową*.

5) *Dziewięcisz*, *Chameleon*, ziele ogrodowe. Liście jego po ziemi się rozścielają. Wechodzą do leków. (Kluk). Sama nazwa wskazuje, że należało do cudownych lekarstw, ma bowiem w świętą liczbę sobie: *dziewięć-sił*.

wie święcone kadzidło, mirrę i złoto, kropią konia święconą wodą, a tём się ubezpieczają, bo uporna wiara dopomoże wszystkiemu.

„Gdy już u kresu będziesz, nie puszczajże zawodnika, aż mu wlejesz octu twardego między zadnie nogi, a pacholęciu każ go trzymać, aż do zżymania; potem rzeknij: *Szczęść Boże!* i puszczaj.“

Lekarz nasz przywodzi jeszcze i inne sposoby wprawiania konia ku zawodowi z mniejszą pracą i nakładem. Widać z nich, że przyjęto za główne prawidło, nie dawać koniowi siana na parę tygodni przed wyścigami, lecz jarą słomę; prócz tego myć go starannie i obsuszać białem prześcieradłem, smarować różnemi maściami, wolno go trzymać w stajni, często przejeżdżać do mety oznaczonej i zwolna różnym sposobem „*sadło z niego wyganiać*“, gdyż uważa na lekkość zawodnika w biegu do tego stopnia była zwróconą, iż nietylko szczuple pacholę na nim siedziało, ale nawet w zimie lano mu gorący łój pod kopyta, aby w pędzie nie nabięrał śniegu. Strawę jego skrapiano zawsze różnemi kordyałami. Był między nimi jeden, który i rycerza i konia pokrzepiał.

Czartoryscy, Potoccy, Zbarażscy, Braniccy, Podhorsey, Rozwadowscy, Giżyccy i Roztworowscy, chowali starannie stadniny rasy polskiej; dziś Sanguszkowie i Dzieduszyccy pierwsze pod tym względem trzymają miejsce.

Stosunki dawne Polski z Turcją, zwycięzkie walki i pogromy pohanów, pomiędzy zdobyczą dawały łup najdroższy dla rycerstwa naszego, bo konie arabskie. Nieraz ubogi chudzina zdobył Arabczyka dzielnego, z którego w skromnej swej zagrodzie po kilkunastu latach doczekał się stadninki krwi szlacheckiej, pomnażając tём rodziną fortunę. (1)

Nie brakło prawdziwych znawców, którzy na pierwszy rzut oka oceniali wartość i krew rumaka. Szlacheckie z XVI wieku przysłowie liczy do najlepszych rzeczy te cztery:

„*Koń turek, chłop mazurek, czapka magierka (węgierska), szabla węgierka.*“

Ztąd druga przypowieść:

„*Żrebie tureckie, wyżeł niemieckie, chłopię szlacheckie najlepiej chować.*“ Bo (jak mówi szlachcic współ-

się liczyła sławna rassa polskich koni, wymagali od konia dzielnego pod siodło tych przymiotów:

„Żeby jako wilk lekko i trwało nosił; żeby był rączy, kark pięknie wynosił; żeby miał oko wypukłe jak zajac, a ogon kiciasty lisa; głowy małej, nogi suchej jak jeleni; piers jak u mamki; nozdrze wielkie i otwarte.“

Dorohostajski w *Hippice* swojej (w Krakowie 1603 r. wydanej, w rozdziale III) tak nam opisuje dzielne konia przymioty:

„Ja troje zwierząt wzięwszy, koniowi przyrównam, to jest lwa, jelenia i liskę. Ode lwa bowiem ma na podobieństwo brać oczy, piersi, wspaniałość, śmiałość, nierychle rozgniewanie, dużość tak w przedzie jak w zadzie, tak też i w karku, chybkosć i obzarstwo. Od liski (lisa) zaś chód piękny, lekki i prędki, uszy, ogon, a co o ogonie rozumiem, to też i o grzywie, i czułość a ostrożność. A od jelenia głowę, czeluście (chrapy), gardziel, szyję od głowy cienką, a ku piersiom grubą, nogi, bieg i piers z włosiem polyskującym.“

Te opisy wykazują, że wszystkie owe wymienione



Na przodzie jechał Arab na białym ogierze, którego kopyta piasku dotykać się nie zdawały. (Układ i rysunek Kossaka).

„Weź *galganu*, gwoździów, muszkatowego kwiatu, imbięru, cynamonu, tatarskiego ziela, kraj to drobno i zawiąż w czystą chustę, a dostarczaj wina monego cztery kwarty; wpuść to ziele w wino do koni i przywiąż węzelek, niech tam mokie przez pięć dni; potem pokrapiaj koniowi owsa dobrze wyczyszczonego, a co ulejesz tego wina, zasię dolęj. I sam się go możesz napić, gdybyś chciał w zapasy chodzić, naczko i gdy spać idziesz.“

Kiedy każdy szlachcic uważał się za rycerza zakonu chrześcijańsko-polskiego, którego głównym powołaniem była gotowość do walki w obronie krzyża świętego przeciw poganom, oprócz przyborów uzbrojenia, za pierwszą i główną rzecz uważał dzielne konia. A dzielnym był tylko koń turecki, lub z arabczyka a polskiej klaczy.

Rassa sławnych polskich koni była tём krwi mieszanej. W dawnych wiekach znakomici panowie, wystawiając w każdej potrzebie chorągwie nadworne dobrze uzbrojone, hussarskie, pancerne i kozackie, trzymali się i o stadniny koni krwi szlacheckiej.

Tarnowscy, Wiśniowieccy, Sanguszkowie, Sobiescy,

czesny Reja w dziele swém: *Gospodarstwo jeździeckie, strzelcze i myśliwe* 1600 r.), koń turecki droższy, wyżeł niemiecki ćwiczeńszy, a szlachcic za wychowanie będzie i z przyjaciółmi dziękował potem.

Ubiegano się o konie tureckie. Przysłowie z XV wieku daje nam pojmować ową radość starych jeźdźców, gdy dosiedli arabczyka:

„*Tak rad, wesół, jakby go na koń turecki wsadził.*“

Konie białe, uważano za czystej krwi arabskiej; szczególnież tём je zachwalano w przypowieściach z początków XVI wieku.

„*Kto nie miał białego, ten nie miał dobrego konia.*“

„*Kto nie siedział na białym, nie siedział na dobrym koniu.*“ (1)

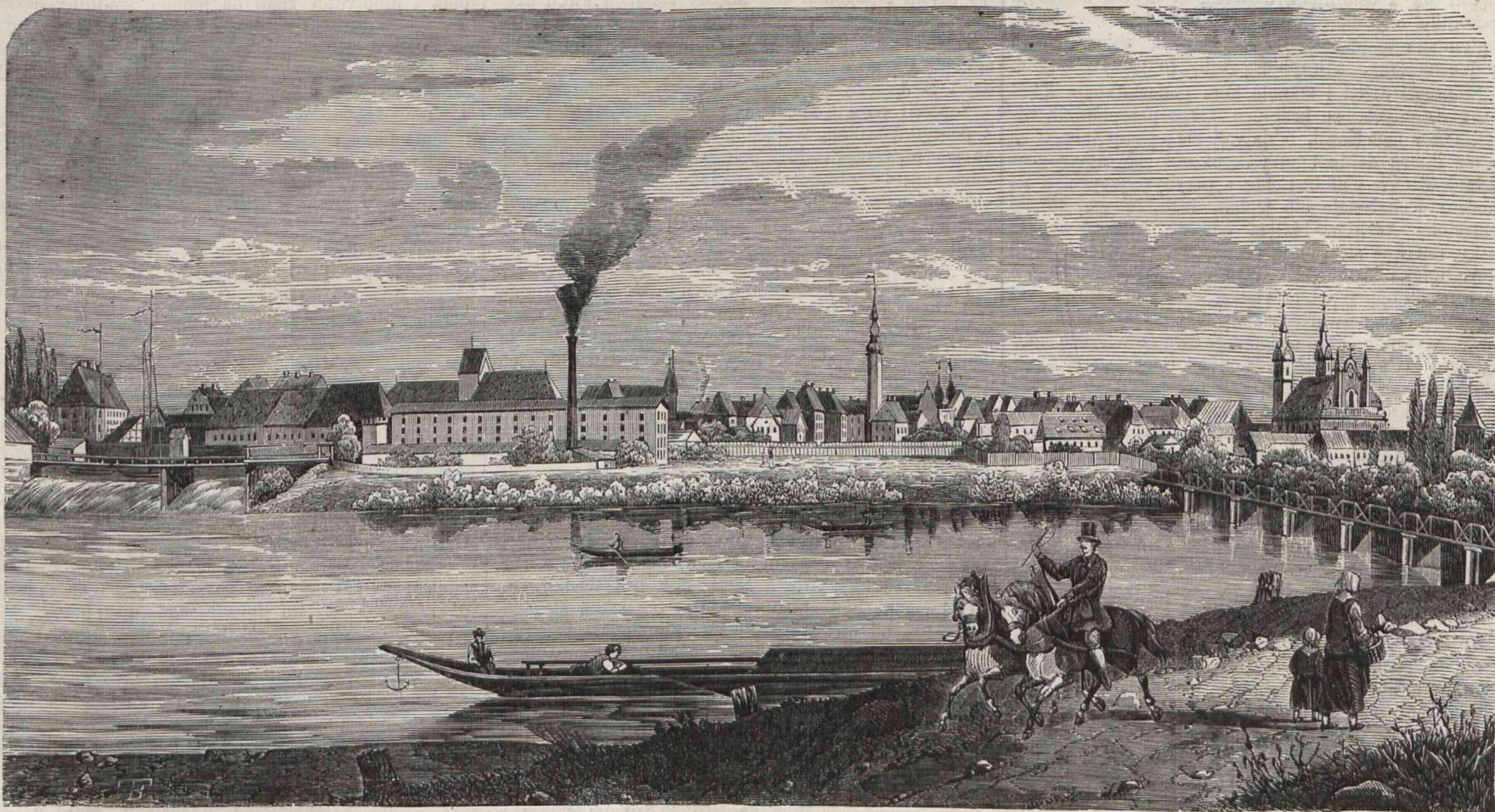
Starzy znawcy koni krwi szlacheckiej, a do tём już

1) Dowodem tego jest jeden z protoplastów folblutów angielskich. Anglik Bayerle, służąc w dragonii w czasie wyprawy Jana Sobieskiego pod Wiedeń 1683 r., zdobył w pamiętnym zwycięstwie rosnącego arabskiego ogiera, na którym dalszą kampanię odbywał. Od niego poszedł ród folblutów, znanych w Anglii pod imieniem *Bayerle Turk*.

przymioty cechują arabskie konie. Bo spojrzymy na tём krwi rumaka. Cóż to za głowa sliczna i kształtna, odpowiednia do ogółu, ucho lekkie, oczy na wierzchu piękne, mądre i iskrzące! Co za chrapy, z których ogień tryska; jakież to chód, jakież ruchy; co za pyszna odsada ogona, co za wspaniałość w całym tём szlachetnym zwierzęciu!

W użyciu pod wierzchem, kto nie podziwia pocziwów i dzielnej natury konia arabskiego? Przy najognistym temperamentie, uległość jeźdźcowi bez granic, odwaga i przytomność na wszelkie przeszkody, osobliwsza zwinność w każdym ruchu. Tylko arabski rumak z miejsca pomknie jak kula najszybszym pędem, i w miejscu jak mur się osadzi. Wiadoma jest wytrzymałość tём krwi konia. Ubogi, koszulą tylko odziany Arab, wychowuje na stepie swego przyjaciela nieodstępnego. Wbię kolek w ziemię, przywiąże za nogę konia, i tak cały dzień stoi pod gołym niebem;

1) Kozacy nie lubili białych koni, z powodu że łatwo widne są zdala i ztąd nieprzydatne do tajemnego napadu.



WIDOK OGÓLNY MIASTA BRZEGU NA SZLĄSKU. (Rysował z litografii Cegliński).

na ziemi mu jeść daje, a gdy jeździec towarzyszy karawanie, jedzie od wschodu do zachodu słońca, i nie pojąc ani karmiąc, wyprawia na swym arabszym ochocze i zwawe harce. W braku wody, zasila go mlekiem wielbłądziem, i o tém musi iść dwadzieścia mil lub dalej. Prawdziwe dziecię pustyni, hartuje się spiekotą słońca, huraganem, głodem i pragnieniem.

Rassą krwi arabskiej odznaczają się głównie w Polsce stadniny książąt Sanguszków i hr. Dzieduszyckich

w Galicyi. W naszych już czasach hr. Juliusz Dzieduszycki umyślnie sam się wybrał, z dwoma podolskimi nadwornymi Kozakami, do Arabii, dla zasilenia sławnej stadniny swojej. Z opisu tej wyprawy mamy tu mały ustęp, który rzuca światło na znaczenie krwi tej krwi w ich pustynnej ojczyźnie.

„Ciagle na koniu po puszczy, lub koczując między plemionami, przeżył już kilka tygodni w ulubionym swoim żywiole. W krótkim czasie kupił hrabia kilka

klaczy; teraz przystąpił do ukończenia targu ogierów.

„Kocheilan i Abiad najbardziej mu w oczy wpadały, mianowicie pierwszy, siwoperłowy, hreczkowato nakrapiany, niesłychanego ognia i wytrwałości, a co do czystości krwi i pokolenia, zupełnie niepodjezany. Niejednego i nie kilka baranów pieczonych zjedli już Arabowie z hojności i szczodroty hrabiego, i o tyle już zmiękli w wygórowanej żądzy, iż można było przewidzieć pomyslny skutek. Widocznie jednak



RATUSZ W BRZEGU. (Rysował z litografii Kozarski.)

ociągali się z ostatniemi słowem, a hrabia nie mógł z początku odgadnąć przyczyny. W końcu oświadczyli, że plemiona mające konie do pozbycia zbiorą się na dzień oznaczony, a kupujący żeby przygotował złoto.

„Nadszedł dzień i stanęło koni podostatkiem, a koni tak dzielnych, że hrabiego serce przepełniała radość. On i jego Kozak oddawali się jej zupełnie, więc się też i targ dobijał. Wtém ukazała się nowa gromada jeźdźców z głębi puszczy przybywających, a na przodzie jechał—ale nie jechał, leciał ponad ziemię wzniesiony Arab na białym ogierze, którego kopyta piasku dotykać się nie zdawały. Barwa ogiera, była barwą mleka krowiego świeżo wydojonego, a ogon i grzywa ulatujące w powietrzu migwały srebrem od słońca; chrapy rozwarte ziały krwią i ogniem, a czarne, wypukłe oko spoglądało ową rzewnością smętną, jaka tylko arabskim koniom najczystszej krwi jest właściwą. Rzekłbyś że koni ów ma duszę w sobie, duszę która czuje swoje dzielność i wspaniałość, i która się smuci, że ją Stwórca w zwierzęcym ciele uwięził. Każda żyłka igrała życiem, każde ścięgno czy wyprężone, czy skurczone, wydawało się w całej czystości i skończoności, a tok postaci, wyrazistość wszelkiego zgięcia była tak doskonała, a wdzięk ruchów i zwrotów tak przytęmił miły i okragły, iż oko zachwycone, patrząc na tego konia, samo sobie nie dowierzało, a w duszy wątpliwość powstawała, czy to jaw czy tylko ułudą?

„Arabowie z zachwyceniem spoglądali, a stary szek (przyjaciół J. Dzieduszyckiego) stłumił oddech w sobie, ręka mu na siwój brodzie spoczęła, a oko, łzą radości błyszczące, wzniosł ku niebu i wyrzekł uroczyste ustę z Alkoranu o koniach:

„Błogosławione Jono matki, której syn posiada takiego konia. Bóg jest wielki!”

Arabowie powtórzyli za nim: „Bóg jest wielki! *Allach kerim!*”

— Co to za koni? zapytał hrabia.

— To Abu-Cheil (ojciec koni). Jego to poprzednicze pokolenie nosiło proroka, kiedy uciekał z Medyny do Mekki! Franku, gdybyś tego konia dostał, byłbyś bogatszym nad wszystkie króle wasze. Sultan pozazdrościłby ci, bo to perła Arabistanu. Jedno słońce na niebie, a jeden Abu-Cheil na ziemi!

— Czyj to koni? zapytał hrabia.

— Nasz! odpowiedziała cała gromada Arabów świeżo przybyłych, w liczbie może trzydziestu.

— Jaki, was wszystkich?

— Tak! nas wszystkich, których tu widzisz. W naszym plemieniu została klacz proroka i miała zrebę, a od tego zrebęcia pochodzi ród Abu-Cheila. Czytaj te księgi rodu jego: są nieomyślne. Z całego pokolenia tych koni, najpiękniejszą klacz miał nasz dziad, któremu oby Bóg był łaskaw! Z tej klaczy pochodzi Abu-Cheil. Nasz dziad niedługo na nim jeździł, bo ziemia święta przyjęła ciało jego, a duszę prawowiernej wzięła Allah do swych roskoszy siódmego nieba. Umierając zostawił nam konia w spuściznę, nam synom i synom synów swoich. Wszybyśmy go radzi posiadali, ale to niepodobna. Więc aby nie było niezgody między bracia, abyśmy wszyscy, zawistnym okiem nie spoglądali na tego co go dosiadywa, przychodzimy sprzedać go Franku, bośmy słyszeli żeś ty bratem emira „*Lwa złotego*,” (1) a Lew złoty był naszym bratem, szeikiem i emirem naszym. Kiedy nasz dziad z głodu umierał, a nie nie posiadał prócz klaczy, matki Abu-Cheila, to złoty Lew nie wziął mu jej, bo byłby mu wraz całą duszę zabrał. Złoty Lew żywił ojca naszego i naszych ojców ojca i cieszył się widząc go jeżdżącego na owej klaczy, co była matką Abu-Cheila. Bratu więc emira sprzedamy go, bo on mu będzie bratem, jak my jesteśmy. Bóg jest wielki!

To wymówiwszy, zeskoczył z siodła i zarzucił leżące na kule kulbaki. Kon stał w miejscu i grzebał nogą piasek, a kiedy Kozak po swojemu do hrabiego zagadał, zarżał i spojrzał się smutno zdziwiony, jak gdyby pytał:

— Co to za cudzoziemcy? co to za mowa obca, której nie słyszałem nigdy, której nie pojmuję?

Oh! bo kto nie zna konia araba czystej krwi, kto nie badał przyrody jego i cnót jego, ten nigdy nie poczuje czemu po człowieku, w rzedzie stworzeń ziemskich najpiękniejszym jest koni piękny.

Hrabia postanowił wszystko dać, byle Abu-Cheila dostać. Szeikowi staremu nagadał o setkach dukatów i nadszpedzowanie przędło dobito targu.

Arabowie stali milcząc ponuro, a kiedy pieniądze w długich rzedach rozłożone mieli zabierać, niejedna

łza błysła i pogadali coś między sobą, a kilku skoczyło na konie i mknęło w puszcę lotem błyskawicy.

— Złe będzie, szepnął hrabiemu szek. Kupiłeś konia, ale go mieć nie będziesz. Nie trać czasu, dosiadaj i ja dosiędę siodła, i uciekajmy co tchu stanie.

Zapłacił więc Kocheilana i Abiada, dosiedli i jada. Z początku wolno, wolno, potem prędzej, a w końcu jak puszcza wodze, polecili niby wiatr, a cała hurma Arabów skoczyła za nimi, wołając: stój Franku! stój! czekaj!

Szek spojrzał po nich: była znaczna liczba. Więc rzekł:

— Trzeba stanąć, bo by źle było.

I znowu dosiedli i znowu świeże tłumy z klaczami zachodzili im drogę, więc musieli stawać. I tak trwało aż dobrze z południa. I stawali z Abu-Cheilem jedenaście razy, a do wieczora ubiegli mil dwadzieścia i dziewięć.

Kiedy przybyli do Kairu, czém prędzej gotowano się do dalszej drogi, bo szek stary przestrzegł, że Arabowie sprysnęli się zagubić Abu-Cheila. On jednak nie chciał zdradzić gościa swego, a brata emira „*złotego Lwa*.”

Hojne upominki przyjął wdzięcznie; potem za liczną karawaną, która dniem wprzód odeszła, odprowadzając hrabiego, żegnał serdecznie jego i arabskie konie, a rzekłszy: *Allach kerim!* Bóg jest wielki! Obdarzył cię perłą Arabistanu, ale strzeż ją od złego oka! wrócił na puszcę uspakając plemiona.

Wróciwszy, szek napotkał pogoń; ale ją wstrzymał zapytaniem:

— Wy chcecie dopędzić Abu-Cheila, na którego pochodowem pokoleniu proroka z Medyny do Mekki nie dosięgniono? Bóg jest wielki!

Więc Arabowie zwrócili konie i żalowali że Abu-Cheila z rąk wypuścili; hrabia zaś, bez dalszej szkody, pierwszego dnia dopędził karawanę i razem z nią dojechał szczęśliwie do Damaszku. (1)

Przywiedliśmy ten ustęp, raz jako mający związek z podaną przez nas legendą, a powtóre, że dosadnie maluje znaczenie i wartość arabskich koni. (2)

Starzy Polacy z doświadczenia nabrali przekonania, że tylko z arabskich głównie ogierów, doczekać się można dzielnych koni. Jakoż sława polskiej rasy dotąd jest głośną zagranicą. Dziś każdy kawalerzysta pragnie mieć polskiego konia (ein polnisches Pferd), dzięki przechowaniu tej rasy przez takich jak Sanguszko, Dzieduszycki i inni.

Jak szkodliwą jest nierozważna moda anglomanii, szczególnie w wojsku, okazały niedawne kampanie. Oficerowie sadzili się na *folbluty*, ale jak przyszło do sprawy i trudów obozowych 1848 i 1849 we Włoszech i w Węgrzech, spostrzeżono w armii austriackiej niepodobienstwo ich używania na polu bitwy. W kampanii krymskiej 1854 r. wyginęły konie tej rasy, a jazda angielska i francuska przeszła na piechotę. Tylko strzelcy konni afrykańscy, co na arabach siedzieli, stanowili dzielną jazdę. Dziś rząd francuzki chów koni arabskich podnosi w armii, zakupując dla ciężkiej tylko jazdy z północnej rasy wierzchowce.

Dawniej w królestwie polskim było kilka stadnin rasy arabsko-polskiej, u mniej nawet zamownej szlachty. Na Podlasiu, w powiecie siedleckim, w dobrach Krzesku braci Niemirów, oglądaliśmy stadninę, z której rok rocznie sprzedawano po kilka koni tej rasy dla oficerów jazdy polskiej. Zamiłowanie w chowie koni, było podówczas dość powszechne; później zupełnie wygasło. Lubo nie było nas zakładu, jak w Anglii, w którymby gromadzo najdzielniejsze konie na sprzedaż (3), znawcy je-

1) Czas, dodatek miesięczny. Tom V. Kraków 1857.

2) Winniśmy tu dodać, że znakomity nasz artysta Juliusz Kossak, pod okiem takiego znawcy jak właściciel sławnego Abu-Cheila, odbył pierwsze studia rysunku koni, w których tak celuje. W Galicji pierwsze lata swjej młodości spędził Kossak. Te wrażenia, tradycja żywego słowa, dopomogły wrodzonemu talentowi, że się wyrobił na prawdziwie narodowego artystę.

3) W Anglii znanym jest powszechnie zakład p. Tatersal, który wiele się przyczynia do ułatwienia stosunków przędzy i kupna koni. Prawie wszystkie konie szlachetne (vollbluth), które przychodzą do nas z Anglii, za pośrednictwem tego zakładu były nabyte. Mający konie na zbycie, stawia je u Tatersala, gdzie za stajnię, paszę i dozór płaci po sprzedaży konia umówiony procent. Tam się można dowiedzieć o wszystkich koniach szlachetnych które są do zbycia w Anglii. Podobny zakład u nas, jako punkt zejścia się nabywców ze sprzedających, wielce ułatwiłby stosunki sprzedaży i kupna, a tem samem przyczynił się do wzrostu i zamiłowania dawnego chowu koni. Gospodarzowi zamieszkałemu na wsi, gdy wychowa dobrego konia, trudno jest przyjeżdżać do Warszawy i czekać na nabywcę, jak również i temu co pragnie konia nabyć. Zakład taki, ułatwiający wspólne stosunki, mógłby się utrzymać i rozwinąć opłatą stale oznaczonego procentu. Tatersal ma i po innych stolicach Europy swe zakłady. W Paryżu nosi nazwę *Tatersal français*, gdzie się sprzedaje tysiące koni. (Z notaty Juliusza Kossaka, z której wiele szczegółów czerpalimy do niniejszej pracy).

dnak i lubownicy znali na pamięć stadniny gdzie są konie krwi arabsko-polskiej. Nieraz zdarzało się, że w stadnicy naszego chłopka, znalazł się dzielny stępak; był to po klaczy polskiej z krwi arabskiej potomek. To wskazuje jasno, że gdyby zamiłowanie naszych przodków w chowie polskiej rasy wytrwało, a anglomania nie skrzywiła narodowego doświadczenia stwierdzonego tylą wiekami, że jedynie tylko z arabów można dochować się dzielnych koni i dawną naszą rasę utrzymać, Polska miałaby dotąd stadniny najlepsze.

Dziś rzadkością są u nas czyste polskiej rasy konie, kiedy przed 40 laty nie były osobliwością żadną, bo nie myślano wówczas jeszcze o wyścigach z żokajami, ale o rzeczywistej potrzebie. K. Wł. W.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Galicji.

Przeciw zwyczajowi, stawiam na porządku dziennym powieść, o której powiem słów kilka, choć wiem że już was doszła od pewnego czasu. Utwory powieściarskie pomijam zwykle milczeniem, bo nie przywiązuję do nich wielkiej wagi, jeżeli prócz chęci zabawienia lub moralizowania, nie mają innej dążności; takimi zaś są niemal wszystkie powieści nasze. Nie przewodniczy im prawie nigdy myśl przedstawienia w obrazach tego, co statysta przedstawia w swoich politycznych horoskopach, lub tego, co osiąga historyk, na drodze badania zdarzeń przeszłości. Tymczasem dobra powieść społeczna, podając w formie nadobnej, co tamci podają w formie rozmowań opartych na faktach rzeczywistych, popularyzuje też same prawdy, rozwiązuje też same kwestye żywotne, a ma przystęp wszędzie tam, gdzie go niema historyk i polityk. Tém przekonaniem wiedziony, biorę do ręki dzieło: *Święty Jur, powieść w 3ch częściach, przez Jana Zacharyasiewicza. Lwów 1862, druk Ed. Winiarza, w 4ce str. 271* (po dwie szpalty na stronie).

Dzieło to zasługuje aby je czytano i zastanawiano się nad niem. Jestto powieść lub nie powieść, jak kto zechce. Można ją nazwać pamiętnikiem, historią, mimo iż wszystkie postacie i zdarzenia ugrupowano tu w powieść. *Święty Jur* jest najlepszą powieścią, jaka się w ciągu ubiegłego roku w naszej literaturze pojawiła; obudziła tytułem samym oczekiwania, a treścią od razu ziszcć musiała takowe, skoro jednocześnie tłumaczył ją na czeskie W. D. w miarę jak wychodziła, i z wyjściem ostatniego arkusza ukończył przekład.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć zawód literacki Jana Zacharyasiewicza. Pracuje on od r. 1847, kiedy drukował *Sonety* w Dzienniku mód. W r. 1848 pisał rozprawę o architekturze egipskiej. W roku 1848 redagował *Postęp*, w r. 1849 Tygodnik polski. Dalsze lata odsiadywał w Teresienstadt. W roku 1854, siedząc w fortecy, nadsyła powieść p. t. *Gwiazda* i pojawia się jako współpracownik *Nowin*. W roku 1856 jest redaktorem *Dziennika literackiego*. W r. 1860 redaguje *Kółko rodzinne*. Wydaje przytém powieści *Boże dziecię* tomów 3 (1858 r.), *Dwaj lutniści* t. 1 (1857 r.), *Na kresach części* 3 (1859 r.), *Powieści* t. 1 (1855 r.), *Renata* t. 1 (1858 r.), *Sąsiedzi* t. 2 (1856 r.), *Sierota wielkiego świata* t. 2 (1856 r.), *Uczony* t. 2 (1855 r.) *Złota góra*, *Falszowy król*, *Konfederat* t. 1 (1871 r.). Wydał też: *Do ludu*, Lwów 1848 r. fol. *Wykład dziejów polskich dla dzieci* 1855 i 1862 r. Powieść *Konfederat* wyszła r. 1861 w niemieckim przekładzie.

Z pomiędzy tych kilkunastu tomów powieści wyróżniam: *Na kresach* i *Święty Jur*. Pierwszą znają wszyscy, jeżeli nie z czytania, to z rozbiórów w N. 46 Gazety polskiej r. z. i w N. 139 Tygod. Illustr. przez P, więc tylko o *Świątym Jurze* pomówię nieco.

Zacharyasiewicz miał ogromnie trudne zadanie, bo obrał sobie za ośnowę rzeczy i stanowisko, na które oczyma własnymi patrzymy, których więc jesteśmy uczestnikami, lub działaczami i sędziami. Trzeba zatem było bystro ujmować rysy i barwy, aby nie ściągnąć na siebie zarzutu nieprawdy.

Treść powieści Zacharyasiewicza jest ta: Sprawa odbywa się niedaleko Lwowa. Na plebanii zahoreckiej osiadł z dawien dawna ks. gr. kat. *Onufry*, ojciec ślicznej *Eudoksji*, zacny staruszek, ofiara intryg ks. *Petrykowa*. Ks. Onufry pada ofiarą swjej zacności, albowiem nie ważył się zjednoplemienną choć innego wyznania ludnością i pozwalał gromadzić swj żyć w zgodzie z sąsiednią gromadą obrządku łacińskiego. Za karę ksiądz Onufry przeniesiony zostaje w góry, a córka, jego, za lekarską poradą, oddana pod opiekę przyjacielowi do Lwowa. Ksiądz Onufry wychował od małości *Porfrego Szetyckiego*, o którym, że był ubogi słyszeć nie chciał wuj jego, dostojnik i kanonik u św

1) Przydomek u Arabów dawany sławnemu Wacławowi hr. Rzewuskiemu, który długo pomiędzy nimi zamieszkiwał.

BRZEG,

MIASTO W GÓRNYM SZŁASKU.

Jura we Lwowie. Porfiry młodzian, marzyciel - fantasta, waha się zwolna i przechodzi do obozu przeciwników. W Zahorcach ważną odgrywa rolę diak *Spirydon Haurus*, postać obrzydła, bezczyna, z pretensją do wyższości umysłowej, człowiek głupi, a przez głupotę zły. On to podsłuchuje i podchwytuje tegoż kś. Petrykowa i innych, i przysposabia kandydatów do lasów i pasowisk dworskich. Jestto najniebezpieczniejszy pośrednik między gromadą a księżmi. Równie szkodliwą figurą jest *Szpincer*, wysłużony wojskowy i eks-woźny, który broi po wsiach, także z tendencją komunistyczną, a mimo że czyni jego pachną kryminałem, uchodzi mu to i zawsze umie się na sucho wykręcić. Za zbrodnię nawet miano go już ująć, gdy jakoś stało się że złożono raport, iż w czasie podpalenia domostwa poparzył się i umarł, a na tym raporcie poprzestano.

Eudoksyja, córka księdza Onufrego, dzięki nauce Porfiredo, wykształcona oczytaniem się w dziełach naszych mistrzów, nie skrzywiła wyobrażeń swoich, a pojęcia jej wybiegły ponad strzechę biednego księdza ruskiego. *Eudoksyja* pokochała miłością młodzieńczą przewodnika w krainę pojęć o obowiązkach względem kraju. Porfiry nie był względem niej obojętnym, poki wrzawa polityczna nie skierowała uwagi jego ku rozmyślaniu nad urojoną niegdyś wielkością narodu ruskiego. W miarę jak rosła jego miłość dla Rusinów, chłodziło serce jego dla *Eudoksyji*. Przeczuwała to ona, choć tał się przed nią, i rozczarowała się, gdy w chwili miłosnych wynurzeń, pierwszy raz mimowolnie ozwał się do niej nie po polsku, lecz po rusińsku słowy: *Krasnodivo, sestro moja*. Z ust Onufrego dowiaduje się Porfiry o zajmującej historii rodu swojego. Szetyccy Rusini, mający nabożeństwo szczególne do świętego Jura, i Szetyccy łacinnicy, pochodzili z jednego pnia; bywały chwile, że wzięli się z powodu różnicy obrządku, ale zawsze w dniu św. Jura obadwa rody zapomniały uraz przy wspólnym stole. Jeden z tego rodu zmarł w Paryżu, zostawiwszy w ręku przyjaciela swego, eks-wojskowego *Dominika Korybuta*, rozporządzenie woli ostatniej, mocą której zapisuje dobra swoje dwóm spadkobiercom z jednej i drugiej linii, ale pod warunkiem, aby ci wytrwali w wierze ojców swoich. Do spadku należy wieś Zahorec i dwie inne wsie.

W zawiązaniu powieści występują wyraziście urzędnicy prowincjonalni, jeden *Eichenblatt*, drugi *Maszek*. Przedstawiają oni warstwę ludności, wpływającą niekorzystnie na rozdział szlachty z gromadą: jedni działają źle z nieprzychylności, drudzy chcieliby działać dobrze, ale ich własni podwładni psują te chęci najłepsze i wiedzą ich na bezdroża.

Sprawa dalsza toczy się we Lwowie, dokąd przybywa Porfiry. Jeden cel zbliża go do wuja, prałata u św. Jura, który też samą ideę krzewi, ale na drodze oficjalnej, lojalnej, marząc iż za zasługi dosłuży się mitry. Postać prałata najlepiej ze wszystkich pojęta i utrzymana: jestto jakby fotografia rzeczywistości: ciągle mówi pobratymcom o zgodzie, kłania się i przyrzeka, a na uboczu sieje najgoręcej niezgodę. *Eudoksyja* dostaje się do domu Wyrwiczów jako towarzyszką. Dom ten, osiadły we Lwowie z dalekich stron, jest prawdziwie obywatelskim. Tu się schodzą wszelkie stronnictwa, tu ścierają się zdania, tu gospodarz ten tuje zgodę między Rusią a pobratymcami i ludzi się ze doprowadzi ją do skutku.

Sympatyczną także jest figura pana *Dominika Korybuta*, wykonawcy testamentu.

Karol Grocki, spadkobierca po kądzieli owego spadku po Szetyckim, młodzieniec ognistej wyobraźni, pragnący działać a bezczynny, nie sprawdza nadziei o sobie, bo nie umie wytrwale pracować, iść zwolna naprzód. Trwoni czas na miłoskach z *Helena*, ni rozwódka, ni mężatką, trzymającą sobie w odwodzie kochanków bez liku, między którymi ma pierwszeństwo niezgrabny a zwierzęcej fizygnomii pisarczyk z rogatki, pan *Eukasz*.

Zadaniem jest *Korybuta* nawrócić Porfiredo, a uratować *Grockiego*; toż zadaniem jest i całego działającego powieściowego. Pojedynczych scen opisywać niepodobna, bo na to niema tu miejsca. Są sceny niektóre bardzo wyraziste, jak na przykład: zebranie Rusinów w kawiarni, któremu prezyduje *Szrejer*, nie umiejący po rusku, a mimo to mieniący się Rusinem. Mówi więc napół po polsku i po niemiecku, gdy drudzy odpowiadają mu po rusku. Są to obrázky brane z rzeczywistości.

Występuje też na scenę ów niby zmarły lotr *Szpincer*, który pod przybranym nazwiskiem *Szejka* oddaje usługi prałatowi, donosząc mu to i owo. Występuje i ksiądz *Petrykow*, który dojeżdża na tajemnicze schadzki z figurą również tajemniczą, bawiącą czasowo we Lwowie, a przybyłą z daleka.

Występują dalej postacie *Maryni* z Łyczakowa i *Waleryi*, które lubo sympatyczne i do powikłania powieściowego potrzebne, nie wywierają jednak wpływu na tok działania.

Najpiękniejszą jest scena u Wyrwiczów. Wyrwicz chce zgody, więc wszystkich gromadzi u siebie. Prałat kłania się i ściska, przyjmuje na zgodę śliczny obraz św. Jura w darze od Wyrwicza, a po opuszczeniu zebrania przyczynia się, iż Wyrwiczowi, jako nie tutejszemu, każą wyjeżdżać z kraju.

Scenę u Wyrwicza przerywa efektownie wiadomość o okropnych wypadkach. Szeroko rozprawiona powieść kończy się szybko. *Grocki*, po wielu powrotach, przekonawszy się o niewierności *Heleny*, przeboleł i przechorował zawiedzioną miłość, a ozdrowiawszy, ruszył dalej, aby być użytecznym. Porfiry, mając przekonanie, że on jeden wytrwał w wierze ojców, jak chciał testament, jedzie do Zahorec, jako domniemany wyłączny dziedzic tychże. Ale zawiedziony w nadziejach i poprawiony, rzuca wieś, wraca do Lwowa, i wkrótce widzimy go z *Grockim* i *Wyrwiczem* w Warszawie. Porfiry i *Grocki* pokutują, jak pokutowali za młodu, a potem pojednani ze sobą, odziedziczają razem trzy włości, żenią się, i na tym koniec powieści.

Treść podałem niedokładnie, bo niepodobna ująć ją słowy niewielu; z niej wyrozumiecie tylko, o co szło autorowi. Cel był szlachetny, wykonanie trafne. Powieść tak w całości jak i w szczegółach wybornie narysowana. Rzecz poprowadzona lepiej niż w poprzednich tego autora powieściach. Zwyczajną wadą pióra *Zacharyasiewicza*, jest chłód w opowiadaniu, bawienie się fraszkami, szczegółkami i powtarzanie się w obrazowaniach, krążenie około jakiegoś pochwyconego malowidła. Od tych wad nie jest wolną i powieść *Na kresach*, ale nie widzę ich w ostatniej powieści. Autor jest tu zwięzły, treściwy i nigdzie nie powtarza się; jest poważny, ale też i przedmiot traktowany wymaga powagi. Jedyną wadę stanowi to, co wszystkim innym jego utworom zarzucić można, iż zbyt nagle uciną powieść: napisał trzy tomy, a nagromadził materiału najmniej na cztery. Przez dwa tomy ciągle przewija się ekspozycja dzieła, tom trzeci rozwija działanie biegiem przyspieszonym, a epilog dopowiada to, co by mogły dopowiedzieć figury działające. Jestto w pewnej mierze efektowne, bo nie rozwlekłe, ale budowa szwankuje na tym. Zresztą rzecz to gustu i zdania. Wszystkie też postacie przeprowadzone konsekwentnie i charaktery utrzymane do końca, a co ważniejsze, charaktery oryginalne, ściśle miejscowe, przez nikogo w ten sposób nie postawione na widowni, poczynawszy od diaka, a kończąc na prałacie marzącym o mitrze.

Z okolic Drohiczyzna podlaskiego, w kwietniu 1863 r.

Świeżym dowodem że lud wiejski w stronach naszych uznaje niezbędną potrzebę nauki, jest powinszowanie drugiego dnia świąt wielkanocnych przez parobczaków w jednym z dworów miejscowych złożone. Powinszowanie to, a raczej oracya, rozpoczęli oni w sposób następujący:

„Zaczek ja zaczek z polskiej krainy,
Proszę posłuchać pięknej nowiny.“

Tu opowiadanie o święcie uroczystym i t. p. Zakończenie zaś takie:

„Mnie ubogiego czem dobrze obdarujcie,
Na papier, kałamarz także nie żałujcie.
Onegdajszego dnia przygoda się stała,
Ptak mi z piórem uciekł, tablica zgorzała,
Papier zapomniałem w kościele kłęczący,
A kałamarz stłukłem ze szkoły biejący.“

Jakkolwiek było to zapewne powtórzeniem podobnych przemówień w innych miejscach, jednakże wybór ustępu tego, zamiast innych mniej stosownych, przekonywa o rozbudżonem poczuciu życia umysłowego.

W ostatnich numerach Tygodnika Ilustrowanego zamieszczony był ustęp, dotyczący się wspomnień o Jadźwingach. Otóż tu w dawnej ziemi drohickiej, wchodzącej od roku 1843 w skład pwtu białskiego, często słyszeć można z ust włóścian i szlachty zagonowej wyrazy: „komat, komatecek“ co ma oznaczać trochę, odrobinę. Czy z tego nie możnaby przypuścić, iż po upadku Jadźwingów, osiedleni tu Mazury zwali pozostałych pojedynczo potomków tego plemienia *Komatami*, pomnąc na imię ich wodza? Wszak w dawnej ziemi bielskiej, o kilka mil złąd odległej, jeszcze w roku zeszłym wieśniacy przy drodze od Brańska do Bielska prowadzącej, pokazywali mi miejsce, gdzie *Komat* zabitym został. Widać że starsi młodszym wypadek ten przekazują podaniowo.

E. W.

Po wielokroć już w piśmie tém staraliśmy się zwracać uwagę publiczności naszej na wielki historyczny interes, jaki Szląsk dla nas przedstawia, podając, o ile to było w możności, wizerunki i opisy pamiątek polskich w tej dziś po większej części niemieckiej prowincyi. Wierni naszemu zadaniu, dzisiaj z kolei zamierzamy obeznać czytelników Tygodnika z jednym z ważniejszych miast niemieckiego jeszcze całkiem górnego Szląska, niegdyś stolicą udzielnego księstwa Piastów, *Brzegiem*.

Miasto to, na lewym brzegu Odry, o sześć mil powyżej Wrocławia położone, nie istniało jeszcze jako takie w chwili, gdy w skutek fatalnego przez Krzywoustego dokonanego podziału, Szląsk dzielił się synów zmarłego na wygnaniu Władysława Ilgo się stawał. Przywilej Henryka Brodatego w 1235 r. wydany, stwierdza tylko bytność zamku, zapewne drewnianego, Wysokim-brzegiem (*Visokebreg*—po łacinie *castrum in alta ripa*) zwanego, około którego, jak zwykle, musiała się tulić pozioma wioska. Wkrótce jednakże potem, bo już w 1250 r., Henryk III nadał Brzegowi nazwę miasta, (*civitas in alta ripa*), przyrzekając takowe w przeciągu dwóch lat nieodzownymi w owych czasach murami umocnić.

Aż do 1311 r. Brzeg należał do wrocławskich książąt. W rzezonym dopiero roku, w skutek podziału pomiędzy synami Henryka V dokonanego, jeden z nich, Bolesław III, udzielnym księciem brzeskim został. Od tego też niewątpliwie czasu datuje się znaczniejszy wzrost miasta i obronniejsze jego, jako siedziby książęcej, umocnienie.

Syn i następca Bolesława, Ludwik I, (od 1359 do 1398 r. panujący), zbudował w Brzegu piękny zamek z kamienia, tudzież kaplicę murowaną św. Jadwigi. On także rozpoczął w 1370 r. budowę kościoła św. Mikołaja, która po jego dopiero śmierci, w 1416 r., ukończoną została.

Jak słabo jeszcze podówczas było utwierdżonem miasto, pokazuje się z wzięcia go wkrótce potem (1428 r.) przez Hussytów, którzy tu żadnego nie doznali oporu, po dobrowolnem ujęciu mieszkańców za Odry, na której most za sobą spalili. W szesnastym zaś lat po odwidzinach czeskich wojowników, zdobyli Brzeg na swoje ręce prowadzący łupieżczą wojnę dwaj awanturnicy: Henryk Kruszyna i Jan Zwolski, lub Śmielski.

Od 1434 do 1481 r. Brzeg zostawał w zastawie u książąt opolskich, co także naturalnie, obok klęsk wojennych, do wstrzymania go na drodze wzrostu przyczynić się musiało. Pora nowego odzicia, a zarazem największej jakiej doznał świetności, przyszła dlań dopiero z połową szesnastego wieku, pod panowaniem Jerzego II. Gospodarny ten i zamożny książę kochał się w wystawności dworu i w sztukach, szczególnie w budownictwie. Na upiększenie rezydencji swojej wydawał ogromne summy, za które mógłby zakupić niejedno sąsiedzkie księstwo od marnotrawnych i wiecznie zadłużonych innych Piastowiczów. Między innemi, zbudował na miejscu dawniejszego zgorzałego, dotąd istniejący ratusz, tudzież dokończył z wielką wspaniałością budowę zamku, przez ojca swego, Fryderyka II, rozpoczętą.

Za przedostatniego udzielnego Piasta na Brzegu, Jerzego III, miasto po części nowemi utwierdzeniami otoczone zostało, po części dawne odnowiono i polepszone. Miało ono podówczas pięć bram i trzy furty, z których to ostatnich jedna, w końcu polskiej położona ulicy, polskiej też nosiła nazwisko.

W r. 1675 zmarł ostatni książę z Piastów szląskich, Jerzy Wilhelm, pan na Lignicy, Brzegu i Wołowie (Wohlau), w skutek czego księstwa te przeszły na własność korony czeskiej, której w lenność książęta szląscy oddawna się byli oddali; wyraźniej mówiąc, ponieważ korona św. Wacława w habsburgskim zostawała domu, ostatnie udzielnne jeszcze księstwa szląskie stały się austriacką własnością. Najznakomitszym pomnikiem jaki z czasów rakuskiego panowania w mieście pozostał, jest kościół i klasztor dla jezuitów w latach 1735—1745 zbudowany.

Gdy w 1740 r. Fryderyk Wielki nazywany, król pruski, wkroczył do Szląska, Brzeg troskliwie przez Austriaków był wzmocnionym. Pomimo to jednak, po ośmiodniowym szturmie, w dniu czwartym maja 1741 r. przez Prusaków wzięty został.

Po raz ostatni jako twierdza odegrał jeszcze rolę

w 1807 r., obleżony przez Francuzów, którzy go następnie po kapitulacji wzięwszy, wszystkie nowsze i znaczniejsze fortyfikacje poniszczyli. Ocalała jednakże część wałów od Odry, tudzież średniowieczne mury i baszty wkoło miasta, które dziś otoczone alejami i kłębami, a winogradem i bluszczem tu i owdzie oplecione, niemało dodają im ozdoby.

Położenie miasta niebardzo usprawiedliwia nadawane mu niegdyś *wysokiego-brzegu* nazwisko; całe bowiem wzniesienie jego nad zwykły poziom Odry za ledwie dziesięć łokci paryzkich wynosi. Zawsze jednak wyniosłość ta jest znaczną w porównaniu z przeciwnym, prawym brzegiem rzeki, za ledwie cóskolwiek nad jej powierzchnią górującym i zład na częste wylewy narażonym.

Obecnie Brzeg, po niemiecku *Brieg*, jest miastem powiatowym, do regencji opolskiej (*Oppeln*) należącym. Ludności, po części katolickiej, po części protestanckiej, liczy około 11,000. Przy katolickim wyznaniu pozostał kościół po-jezuicki, tudzież przy zamku położona kaplica św. Jadwigi; starożytny zaś kościół św. Mikołaja protestanckiemu wyznaniu oddany został. Ludność powiatu brzegskiego jest czysto polska; w mieście zaś samem nietylko służebna, ale i zamożniejsze klasy, z wyjątkiem niewielkiej liczby z niemieckich prowincji przysłanych urzędników, do-

brze po polsku rozmówić się mogą, choć towarzyskim i domowym językiem lepszemu tonu wyłącznie jest niemiecki.

Całe miasto, ze swemi wązkimi ulicami i wysokimi średniowiecznymi kamienicami, bardzo staroży-

Nad główną bramą stoja w naturalnej wielkości wykuci książę Jerzy II i jego żona Barbara brandenburgska, wyobrazeni w bogatych tamtoczesnych niemieckich strojach. Pod niemi napisy.

Pod księciem:

„Georgius Dei Gratia Dux Silesiae, Lignicensis et Brengensis, divina faventeclementia primus hanc structuram fieri et aedificari curavit, regnante Ferdinando rege Romano semper Augusto MDLIII.“

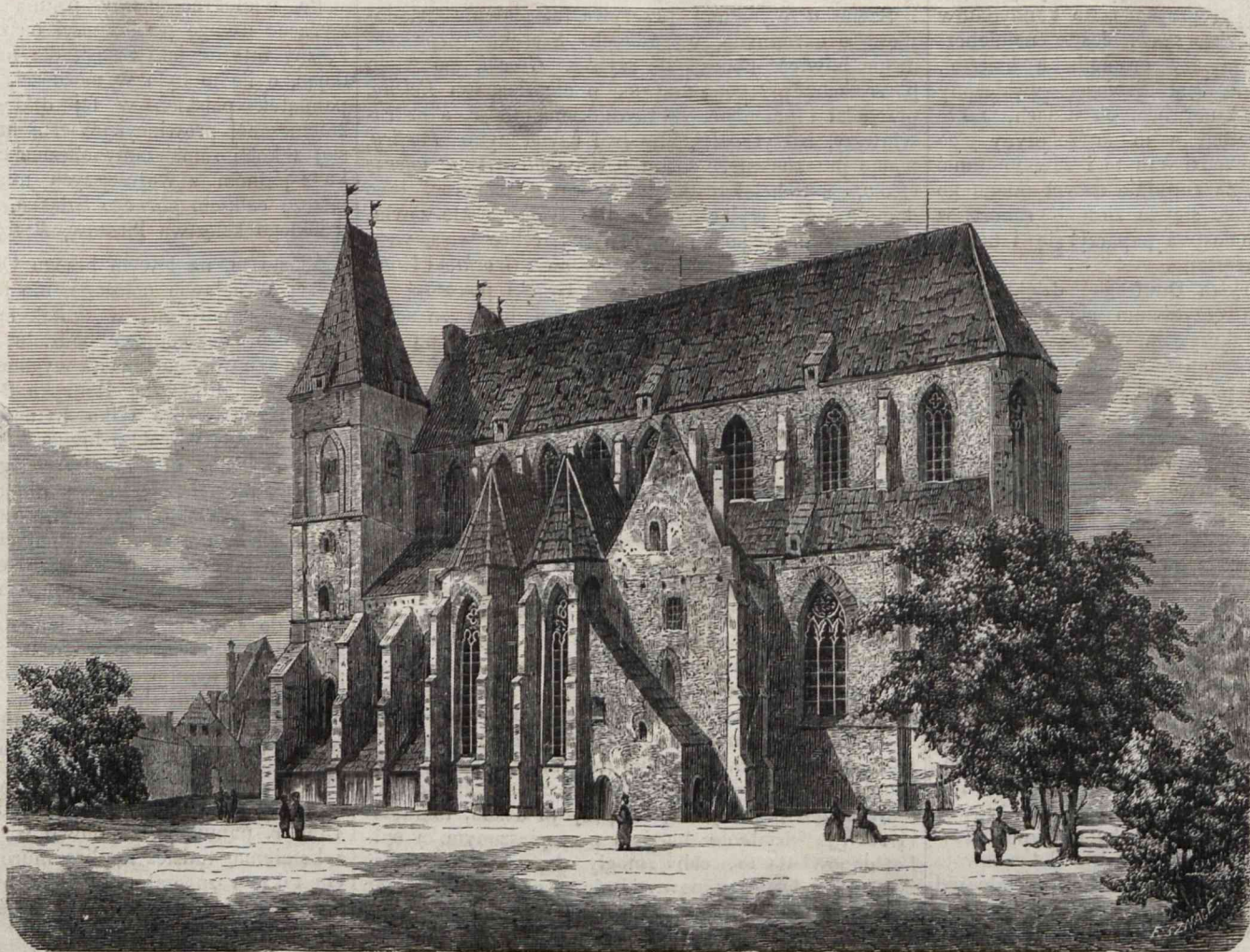
Pod księżną:

„Barbara Illustris principis Joachimi Marchionis Brandenburgensis. Sacri Romani imperii Electoris filia, illustris principis Georgii ducis Silesiae et caet. conjunx MDLIII.“

Nad boczną furtką wypisana następna sententya z pisma świętego:

„Nisi dominus aedificaverit domum, in vanum laborant, qui aedificant eam. Nisi dominus custodierit civitatem, frustra vigilat, qui custodit eam. Psal. 127.“

Od strony dziedzińca bramę wjeżdżną, na dwu ciężkich kolumnach wspartą, z dobiami brandenburgskimi i



KOŚCIÓŁ ŚW. MIKOŁAJA W BRZEGU. (Rysował z litografii Kozarski).

tny ma pozór. Głównymi ozdobami jego są: ogromny i wspaniały ratusz; gotycki, prawdziwie piękny kościół św. Mikołaja, a nadewszystko ocalałe reszty dawniejszego książęcego zamku. Te ostatnie są tak pyszne, że dla widzenia ich tylko samych jużby każdemu przejeżdżającemu przez Brzeg zatrzymać się tu godziło.

Jakśmy to już wspomnieli, zamek brzegski zbudowanym został lat temu trzysta, przez rozmiłowanego w architekturze księcia Jerzego II, z niezmiernie kosztownym nakładem. Pierwiastkowej jednak jego świetności domyślać się tylko musim z opisów autorów którzy go jeszcze w całości widzieli; podczas bowiem bombardowania miasta przez Prusaków, 1741 r., uległ zniszczeniu, a pozostałe jego mury odłd za wojskowe magazyny służą. Znikły zdobiące go wieże i krużganki wewnątrz dziedzińca otaczające, a ogromne okna, w ramach z ciosu, po części zamurowane, po części zamknięte okiennicami w czarne i białe malowanymi pasy, wcale niepiękny przedstawiają widok. Szczęściem główny portyk zamkowy ocalał, i żadnego prawie nie poniosłszy szwanku, służyć może niejako za próbę, czem całość kiedyś być musiała.

Portyk ten, na trzy piętra wysoki i trzy okna wszędy obejmujący, zbudowany jest cały z ciosu w włoskim guście, z niesłychanym zbytkiem ozdób. Pod naszym północnym niebem nie zdarzyło mi się jeszcze nigdzie widzieć takiego bogactwa rzeźb, na które patrząc dziwić się przychodzi, że tak gruby jak cios materiał mógł się nadać do podobnie wytwornej i misterniej pracy.

Podczas gdy dolną część budowy, mieszczącą w sobie bramę i furtę, zdobią bogato cięte kolumny, herby i arabeski jak koronka arabska plecione, na reszcie ściany rozpięte jest niby w kamieniu kute genealogiczne drzewo księcia-budownika, po części w napisach, po części w starannie rzeźbionych popiersiach, uprzytomniające szereg jego przodków, władców polskich i szlaskich. Popiersia pokryte są farbami i złoceniami, które się dotąd, z wyjątkiem jednego lub dwóch całkiem odpadłych popiersi, wcale nieźle utrzymują. Napisy po największej części czytelne, gdzieniedzie tylko uszkodzone.

szlaskie herby, tudzież trofea wojenne z czerwonego kamienia wykute. Na ścianach pozostałych trzech skrzydeł widać ślady dawnych krużganków, gdzieniedzie tkwiące w murach rzeźby, a w dwóch rogach

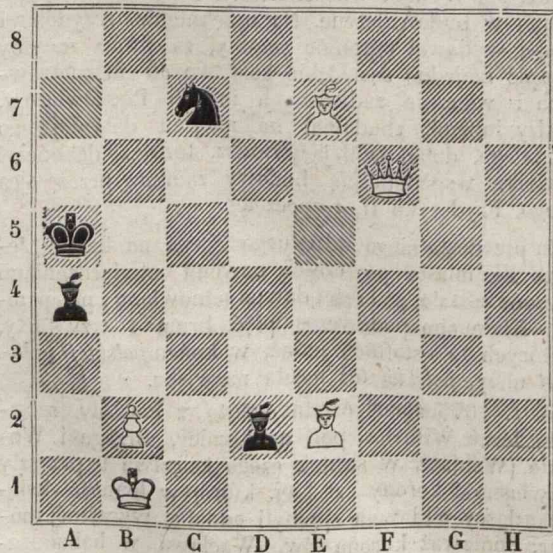
(Ob. dod.)

SZACHY.

ZADANIE CLIII.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

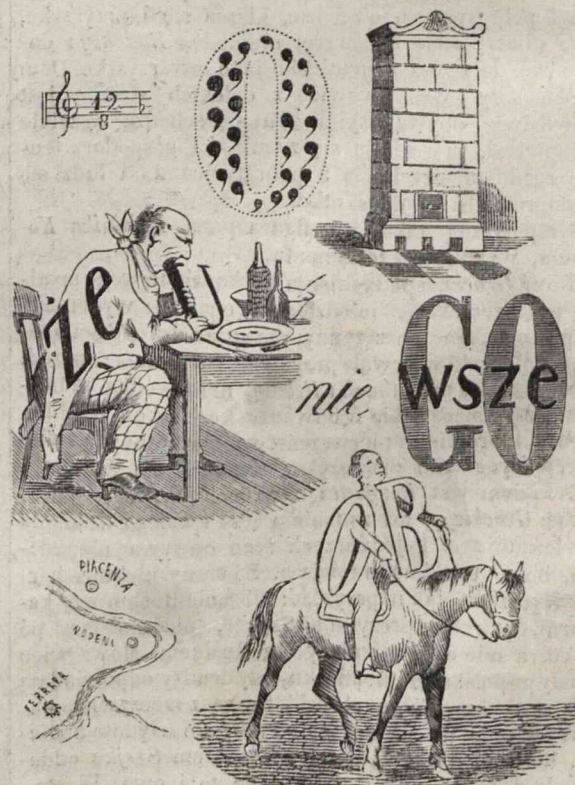
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 152.

Białe.

Czarne.

- | | |
|---------------------|-------------------------------------|
| 1) G 7—G 6 † . . . | 1) H 6—G 6 biorą. |
| 2) D 5—C 7 † . . . | 2) A 6—A 5. |
| 3) E 3—C 5 . . . | 3) G 6—B 6. |
| 4) B 2—B 4 † . . . | 4) A 4—B 3 biorą w przej-
[ściu. |
| 5) C 5—A 3 † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 186.

Dusza człowieka otwartego, w oku odbija się jak w zwierciadle.

(Dodatek.)

wiodące niegdyś na krużganki schody, dziś do pierwszego piętra sięgające.

Wewnątrz zamku mało bardzo minionej jego świetności pozostało zabytków. Na dole tylko przetrwało kilka sklepionych komnat, gustownych sztukaterij, rzeźb i malatur przechowywujących szczątki; na jednym zaś z piąt górnych ocalał ogromny komin rzeźbiony, smutnie od ścian i pował nagich odbijający. W zupełnie dawnym stanie zachowały się jedne piwnice, ogromnymi rozmiarami swymi zaświadczone, że na dworze Piastów tutejszych niemniej jak na innych dbano o godne pomieszczenie kosztownego z Węgier upominku.

Tuż prawie do głównego zamkowego portyku przynależy kaplica św. Jadwigi. Gotycka ta budowa jest tylko częścią kaplańską ze zburzonego podczas bombardowania w 1744 r. kościoła. Część ta, jak się здаje, wzniesiona została najpóźniej w 1340 r., reszta zaś kościoła, dziś nieistniejąca, później w lat kilkadziesiąt domurowana była. W teraźniejszym swym kształcie kaplica, po usunięciu ruin głównej nawy i zamurowaniu brakujących ścian, poświęconą została w 1785 r. Z dawniejszych pamiątek i pomników, w które przed zburzeniem kościoła obfitował, nie nie ocalało, prócz jednej rzeźby, św. Jadwigi i herb szlaski przedstawiającej, ponad głównym wejściem umieszczonej, a z czasu budowy kościoła przez Ludwika I (1368 r.) pochodzącej. Groby pod kaplicą, po raz ostatni w 1785 r. otwierane, mieszczą w sobie dwadzieścia dwie cynowe trumien, ze zwłokami książąt, żon ich i rodzin. Mianowicie: Ludwika I (w 1398 r. zmarłego), syna jego Henryka († 1400), Jana, syna Fryderyka I, († 1495), Jerzego I († 1524), Fryderyka II († 1547), Jerzego II († 1592) i żony jego Barbary († 1595), Jana Jerzego († 1592), Joachima Fryderyka († 1602) i żony jego Anny Maryi († 1605), Jana Chrystiana († 1639) z dwiema żonami, dziećmi i wnukami, a wreszcie Jerzego III († 1664). Pierwszy książę brzeski Bolesław III († 1352) pochowany został w Lubiążu (*Leubus*); ostatni zaś trzech z rodu Piastów szlaskich: Ludwik IV, Chrystian i Jerzy Wilhelm, w Lignicy.

Starodawny herb miasta Brzega przedstawia w polu czerwonym trzy kotwice, w środku pierścieniem złożone, z których jedna ku górze, dwie ku dolnym rogom tarczy obrócone. Nad tarczą pół anioła.

Obszerą kronikę miasta tego, w dwóch tomach, ogłosił w samymże Brzegu, 1447 r., Schönwälder, pod tytułem: „Geschichtliche Ortsnachrichten von Brieg“.

Książę Piotr Skarga.

(Dokończenie).

Jako tymczasowy po Warszawickim zastępca rektora kolegium wileńskiego, Skarga złożył te obowiązki w ręce ks. Jakuba Wujka z Wągrowca, który był drugim rektorem w Wilnie. Tak zbliżyli się i zaprzyjaźnili tutaj ci dwaj mężowie, chlubnie zasłużeni w literaturze naszej. Wzajemnie zagrzewali się i wspierali w pracy nad wyrobieniem języka ojczystego, odkrywając w nim zadziwiającą zdolność oddawania najsłabszych tajemnic religii i najwznioślejszych obrazów.

Wujek w swym przekładzie pisma świętego wznosił się pod względem czystości, obrazowości i mocy języka nad Bielskich i Górnickiego, a Skarga przewyższył i Wujka. Gdy Wujka przeniesiono do Kolożwaru w ziemi siedmiogrodzkiej, Skarga został rzeczywistym rektorem kolegium wileńskiego i właśnie za jego zarządu przypadło podniesienie tego kolegium do stopnia akademii 7 lipca 1578 r. Skarga był pierwszym jej rektorem i podjął wiele prac nad zaopatrzeniem jej w dobrych profesorów i całkowitem urządzeniem. Starania około akademii zbliżyły Skargę do króla Stefana, który na początku 1579 r., ciągnąc pod Połock, od marca do czerwca przebywał w Wilnie i obok swęj głównej myśli o wyprawie, czynnie zajął się urządzeniem szkół na Litwie. Jezuici swiśle, spreżyli i zgodni a wytrwali w działaniu, bardzo przypadli do jego energicznego charakteru. Uważał ich za najzdolniejszych do szerzenia oświaty, której kraj litewski tak bardzo potrzebował, i dlatego jeszcze 24 czerwca 1577 r. z pod Gdańska pisał do jezuitów wileńskich winujących mu zwycięstwa „że ich zakon jest mu nad inne nieodzownie potrzebnym... że jest mu i będzie zawsze najmiłszym, co wam bardziej czynami jak słowami wkrótce okazemy.“

Za przybyciem królewskim do Wilna nastąpiła chwila spełnienia uczynionych obietnic: jakoż Stefan Batory nie tylko ponowił udzielony im w roku zeszłym we Lwowie przywilej na otwarcie akademii, ale tak-

że zatwierdził wszelkie hojności i nadania biskupa Protasewicza, jego kapituły, miasta i panów, poczynione na ich korzyść. Nadto, gdy opanował Połock, natychmiast wezwał sam do siebie prowincjała jezuitów polskich Franciszka Sunnera i Skargę, zlecając im, aby niezwłocznie zajęli się założeniem w Połocku kolegium i zaprowadzeniem szkół w tych stronach. Skarga też, wzięwszy z sobą trzech jezuitów, pośpieszył do Połocka, i mimo przeszkód stawianych przez miejscowego wojewodę kalwina Dorohostajskiego, założył tam kolegium, które król uposażył dobrami spasowskimi.

Kiedy w skutek pokoju zapolskiego dnia 15 stycznia 1582 r. Inflanty przyłączone zostały do Polski, Skarga z towarzyszymi zajął się podźwignieniem w nich kościoła katolickiego. Król kazał oddać jezuitom w Rydze kościół św. Jakuba, który biskup żmujdzki książę Giedrojć poświęcił, a jezuita niezwłocznie rozpoczęli dzieło nowego wpływu przez kazania w języku łacińskim, polskim i niemieckim, tudzież przez otwarcie szkół. Bawiący tu król Stefan podczas wielkanocy odbywał spowiedź razem z otaczającymi go panami i świadczył wiele dobrodziejstw zakonowi. Mimo te względy króla i opiekę jego namiestnika w Inflantach kardynała Jerzego Radziwiłła, położenie Skargi w Rydze było bardzo trudne. Reforma była tu silnie ugruntowana, ludność oświecenijsza i bogatsza, złą i opór większy. Nieraz lżono kaznodzieję słowami i kamieniami, raz nawet o mało w kościele nie przebił go mieczem jakiś zagorzalec. Skarga znosił to wszystko z pokorą i na zarzuty odpowiadał czynem, zakładając nowe, czwarte już kolegium w Dorpacie. Czuwał niezmordowanie nad biegiem nauk we wszystkich i głównie przebywając w Wilnie, inne kolegia często nawidzał. Tak właśnie bawił w Połocku, gdy nowy prowincjał Edmund Kampanus powołał go do Krakowa, polecając mu urządzenie nowego kolegium w tym mieście. Po dziewięciu latach najmoźniejszej pracy kaznodziejskiej i naukowej, opuszczał Wilno i Litwę, zdając wszystkie pełnione tam obowiązki, rektorstwo akademii i zwierzchni zarząd trzema kolegiami.

Stanąwszy w Krakowie w czerwcu 1584 r. znalazł tu daleko więcej współczucia niż na Litwie i w Inflantach.

Katolicyzm zrobił wielki postęp; znakomici panowie i panie hojnie sypali ofiary, i dzięki tej szczodrości, Skarga zaraz na wstępie do stolicy rozpoczął w niej swe prace od dobrodziejstwa. Poruszony nieszczęśliwym położeniem ubogiej stolarki, której mąż dotknięty ciężką chorobą nie mógł pracować na utrzymanie licznej rodziny, wszedł na ambonę i z takim mówił zapalem o miłosierdziu chrześcijańskim, że zaraz po kazaniu wiele osób oświadczyło się z gotowością do ofiar i w tymże miesiącu październiku 1584 r. założyło się *bractwo miłosierdzia*, pod przewodnictwem ks. Mikołaja Taranowskiego kanonika krakowskiego. Skarga, jako ojciec duchowny stowarzyszonych, kierował ich gorliwością. Celem bractwa było tajemnie wspierać ubogich i chorych, wstydzających się zebrać. Do bractwa zapisały się najznakomitsze domy pańskie, królowie i królowe—osobliwie potem Zygmunt III wspierał je hojnie z własnej szkatuły, tudzież kwestując na rzecz jego podczas uroczystości wielkotygodniowych.

We dwa lata później Skarga rozszerzył zakres działań bractwa miłosierdzia, łącząc z niem *bank pobożny* (mons pietatis), dla którego zebrał fundusz zakładowy i przepisał statuta, według jakich miał udzielać pożyczek bezprocentowych na zastaw. Ważna ta instytucja wyrwała wielu niedostatnich z rąk lichwiarzy i uchroniła od zupełnego zniszczenia.

Wśród zachodów około nowego kolegium w Krakowie u św. Barbary, prac kaznodziejskich i dzieł miłosierdzia, dotknęły Skargę razem z narodem bolesne zmartwienia:—śmierć przedwczesna i nagła króla Stefana, burzliwość trzeciego bezkrólewia i klęski podwójnej elekcji. „Wieleśmy ucierpieli, pisze do kardynała Radziwiłła, w mieście (Krakowie) jakby jaskini jakiej trapieniem przez sześć niedziel. Ale przed miastem będąca szlachta daleko więcej ucierpiała. Straszne szkody są poczynione nie tylko rodom, ale i domom przez rozerwanie srogie złupionym, wstydlivosti też nie przepuścili i kościołom synowie Belialowi, wywoławcy, dłużnicy, chciwi i srogiego serca, którzy się do obozu oświeconego arcyksięcia zewsząd zbrali... Przyjechał potem Zygmunt, którego wielka wielkość wszystkich stanów prowadziła; koronowany jest 22 grudnia. Które to książę wszystkim ludziom myśli dosyć czynić. W którym pobożność katolicka, bojaźń Pańska, roztropność, poważność, wielki umysł i wstyd, jako perły niejaki pokazują się. Krew zaśie-

królów naszych i mowa ojczysta albo przyrodzona, którą doskonale mówi do poddanych swych i oblicze anielskie, dziwną mu łaskę u wszystkich jedna...“ (List Skargi w dodatku do piśmiennictwa Maciejowskiego str. 182).

Cieszył się Skarga, że na tronie siadł książę pobożny, wychowaniec jego przyjaciela Warszawickiego. Skłonił ku niemu swe serce i toż samo radził kardynałowi.

I król Zygmunt znał i wysoko cenił Skargę jeszcze ze Szwecji, z opowiadań Warszawickiego, dlatego gdy ledwie stanął w Krakowie, zaraz w styczniu 1588 r. powołał go na swego kaznodzieję. Od tej chwili wielka zaszła zmiana—nie w życiu Skargi,—bo to wciąż tenże i zawsze jednaki mąż ewangeliczny, ale w zakresie i znaczeniu jego działalności. Stając się sternikiem i stróżem sumienia królewskiego, miał być zarazem moralnym wodzem narodu. Dotąd zajmowały go wyłącznie sprawy religijne, sprostowanie opinii, zbawienie dusz i miłosierdzie nad cierpiącym bliźnim; teraz wzrok jego, a raczej serce rozszerzyło się i ogarnęło całą rzplą. Dotąd było apostołem katolickim, którego zasługę mogą ocenić tylko ci, co uznają wysokie znaczenie katolicyzmu; teraz, to żarliwy patriota, co obejmuje świeckie sprawy swojej ojczyzny, bada drogi, któremi iść miała w przyszłość i oświeca je pochodnią zdrowego, praktycznego rozumu, nauki i doświadczenia. Na piętnastu sejmach był z królem, otwierał je kazaniami swymi, poruszał najważniejsze sprawy narodu, ostrzegał, upominał, groził. Kładąc na sejmach, stworzył w literaturze nowy rodzaj wymowy politycznej. Pozostało tych kazań tylko ośm, chociaż musiało ich być znacznie więcej; w nowym wydaniu wyszły w Krakowie 1857 r. staraniem K. J. Turowskiego, w ogólnym zbiorze Biblioteki polskiej.

Kazania sejmowe, jako dotyczące się spraw świeckich są dostępnejsze dla naszego sądu. Pomagał w nich narodowi, jak nadmieniliśmy z początku, rozważyć gruntownie główne strony swego życia, religijną, polityczną i społeczną, aby je oprócz na niewzruszonych, zgodnych z jego charakterem i przeszłością podstawach. Stanowienie o swoich prawach, władzy królewskiej, obronie i ubezpieczeniu na przyszłość, naród zdał na sejm. Sejm ten złożony ze 136 senatorów (17 biskupów, 33 wojewodów, 86 kasztelanów) i wielkiej liczby posłów ziemskich, był może najpoważniejszą w świecie radą polityczną. Stając przed nią, posłanik Pański uroczystym powitaniem przypominał jej główny rad skutecznych warunków—mądrość, i tak przemawia: „Zjechaliście się w imię Pańskie na opatrwanie niebezpieczności koronnych, abyscie to, co się do upadku nachyliło, podparli; co się skaziło, naprawili; co się zraniło, złeczyli; co się rozwiązało, spoli; i—jako głowy ludu, braci i członków waszych, jako stróżowie śpiących i wodzowie nieumiejętnych i świeccie ciemnych i ojcowie dzieci prostych—o ich dobru i spokoju obmyślali. Co iż jest rzecz niełatwa i wielkich darów Bożych potrzebująca, uciekanie się do kościoła i ołtarza, do szukania łaski Ducha św., z którejby wam był dany rozum i mądrość na dobrą i szczęśliwą takich potrzeb odprawę. I poganie to czynili, gdy swoje sejmy i rady o dobru popołitem zaczęli:—radzili się bogów swoich przez kapłany swoje. Bo sam przyrodzony rozum ukazuje, iż rady królów i państw z Boskiej opatrności i pomocy stoją, a ludzki rozum i staranie zabiegać wszystkiemu nie może. Daleko więcej przystoi wam, oświeconym wiadomością Boga prawego, tém uciąć Pana Boga swego i tém sobie pomódz, abyscie od niego rady swoje zaczęli, a do kapłanów jego z onemi żołnierzami judzkiemi mówili: Proście za nami Pana Boga waszego, aby nam oznajmił drogę, którą iść mamy i rzecz, którą czynić mamy...“ i t. d. (1e kazanie sejmowe, wydanie Turowskiego).

Trudno o mowę wspanialszą, bo poważnem było zgromadzenie i obowiązki jego Skarga niezmiernie kładł wysoko: to „bogowie ziemscy, dla wielkiej władzy i możności czynienia dobrze, oni miłosierdziem i staraniem swoim nędzę ludzką odganiać mogą.“ (str. 17). „Sejmy na obmyślenie lekarstw na wszystkie choroby upolitycznione, na uzdyszenie zgody i miłości wspólnej braterskiej.“ (str. 35). „Lecz cóż po waszych sejmach, jeśli z różnemi wiatry i niestwornemi myślami na nie się zjedziecie, jeśli na nich więcej niezgod i odrażenia myśli jeden od drugiego i stanu od stanu przyczyniacie i z większym rozważaniem wyjeżdżacie niżli przyjeżdżacie?..“

Jednakże Skarga wysoko ważył sejmy, tylko pragnął aby je rozumni składali, aby je poprawić i należytym prawem opisać. Tak więc w następnym kazaniu przechodzi do rozważania praw krajowych, u-

siłując je oprzeć na prawdziwej moralności i słuszości. Ubolewa, że w rzpltej, która jest jedno ciało, nie ma jednakich praw dla wszystkich, „gdy w ciele jeden członek cierpi, wszystkie z nim cierpią i samo od siebie się psuje.“ Narzeka na szkodliwe prawo „nie imać złochnicy, by i sto głów zabił, aż się z nim prawo przeloczy; a to może się stać tylko na sejmie, na którym jest co innego czynić, na którym swarzając się czas trawicie i ledwie pięć albo sześć spraw takich osądzić.“

Szczególniej powstaje na złe prawo, „którem kmiecie i wolne ludki Polaki i wierne chrześcijanie, podane ubogie, niewolnikami czynicie... i z niemi dru-dzy, co chcą na majętności i na zdrowiu i na gardle czynią, żadnej im obrony i forum żadnego o krzywdy ich nie dając; co jeśli się gędzi i jeśli prawo takie ma jaką odrobinę sprawiedliwości, spytaćby praw i obyczajów wszystkiego świata chrześcijańskiego, duchownych i świeckich.“ (str. 95).

Ze złych praw wynika „niekarność grzechów jawnych“ i o nich to, o bezprawach, mówi w ósmym kazaniu. Żadne wypisy tu niedostateczne—bo co wiész prawie, to piękna myśl, zdrowa uwaga i zaczerpnięte z życia spostrzeżenie. Nieszczęściem spostrzeżenia te smutne po największej części, dlatego serce kaznodziei kralo się przy nich i jak Jeremiasz z boleścią i łzami ukazywał złości i pomstę na nie opowiadał. Już się zestarzał na czuwaniu, nie doczekawszy poprawy, więc aby upomnienia jego razem z głosem nie przebrzmiały, jeszcze raz 1609 r. zebrał je w jednym piśmie pod tytułem „Wzywianie do pokuty obywateli korony polskiej i w. ks. lit.“, w którym zęgnął ich i jak testamentem przekazywał miłość swoją i upominający głos swój.

Lecz występowanie Skargi na sejmach, to tylko najwidniejsza część jego poselstwa; oprócz tego jak dawniej zajmował się uczynkami miłosierdzia, wspierając hojnemi ofiarami bractwo krakowskie, tudzież na podobieństwo jego zakładając nowe w Lublinie i Warszawie. Dokończył budowę kolegium krakowskiego i św. Barbary i dał początek warszawskiemu. Założył bractwo św. Łazarza w Krakowie i Warszawie, na podobieństwo których także powstało w Wilnie, staraniem tamtejszego biskupa Wojny. Celem tych bractw było przysparzać niedarzy i żebraków. Kiedy król Zygmunt 1593 r. pojechał do Szwecji obejmować tron po ojcu, Skarga, będąc wolniejszym, drukował swoje kazania niedzielne i świąteczne, tudzież powtórzył wydanie napisanego niegdyś dzieła „O jedności kościoła Bożego“, które 1577 poświęcił księciu Konst. Ostrogskiemu. Teraz gdy biskupi ruscy rozpoczęli dzieło zjednoczenia z Rzymem, Skarga wspierał ich swoją nauką i piórem, a potem napisał historią synodu brzeskiego 1597. W tymże czasie w dwóch kazaniach pogrzebowych opłakiwał dwie bolesne straty: 12 listopada 1596 r. Anny Jagiellonki wdowy po królu Stefanie, tudzież Anny Rakuskiej, pierwszej żony Zygmunta III 16 października 1599 r. Obie byłyto prawdziwie chrześcijańskie niewiasty, szczerze przywiązane do narodu i Polski.

Choć wszystkie kazania Skargi są patryotyczne, jednak osobliwie starzejąc się ciałem i wybierając w drogę do wieczności, z tém gorętszą miłością zwracał się do świata polskiego. To wysławia Zamojskiego po zwycięstwie multańskim 19 listopada 1600 r.; to kazaniem błogosławi rycerstwo idące na wojnę inflancką 1604, lub też cieszy się z tryumfu Chodkiewicza pod Kirchholmem 1605 r. Zachęcony przez prymasa Karnkowskiego, przetłumaczył w tym czasie roczniki kościelne Baroniusza, skracając 12 tomów w jeden duży, arkuszy, obejmujący dzieje kościoła do 1200 roku—wyszło u Piotrkowczyka w Krakowie 1607 r.

Prywata i swawola, na którą tak powstawał w swoich kazaniach sejmowych, wojna domowa, której tak zabiegał krzewiąc jedność, miała go najboleśniej dotknąć już prawie stojącego nad grobem. Z Bernardem Maciejowskim, Zebrzydowskim i Radziwiłłem krnąbrna bracia, jak mawiał hetman Żółkiewski, miała powstać przeciw królowi i tym, co strzegł reszt jego władzy; w celach przedewszystkiem samolubnych miała popchnąć nieświadomych do walki bratobójczej, „którą i przegrać złe, i wygrać jeszcze gorzej.“ Skarga, ufając w pobożność Zebrzydowskiego, udał się doń do Lanckorony i usiłował przywieść go do upamiętania się. Ale napróżno:—co większa, wojewoda w swych listach do szlachty wprost obwiniał Skargę i jezuitów, że się miesza do spraw świeckich, swobody szlacheckie pragną ścieśnić, że *lud buntują* i t. d. On i spółnicy jego domagali się między innymi rzeczami aby król jezuitów oddalił, kollegia ich poznał, a dobra w ciągu lat dwóch kazał wyprzedzić.

Bitwa guzowska rozwinęła rokosz, ale rzucone były obwinienia i osobście przeciwko Skardze, i przeciw zakonowi w ogóle, które potrzeba było zbić i usunąć zła zła następstwa. Uniewinniając siebie, wystąpił 17 września 1606 r. w Wiślicy z kazaniem, w którym przechodzi całe swoje życie, co robił i czego nauczał. Kazanie to jest arcydziełem wymowy—jak mowa Demostenesa o wieniec. Czytając ją, bezstronny sędzia nie może nie przyznać mu słuszości. Aby obronić towarzystwo Jezusowe, Skarga 1607 r. pisze *Próbę zakonu*, w której opowiada dzieje zakonu i jego pożytki dla religii i oświaty.

Ucichła burza wewnętrzna, i wszystko, co było burzliwszego wyruszało na wschód. Tamże udawał się król Zygmunt, a królowa z dziećmi i Skargą miała go przeprowadzić do Wilna. Ochrzcizwszy tedy królewicza Jana Kazimierza, Skarga z królestwem wyjechał do Wilna, gdzie bawił przez dwa lata, oczekując na powrót króla. Wydał tu swoje „Wzywianie do pokuty“ i napisał odpowiedź „na treny i lament Teofila Ortologa“, Melecjusza Smotryckiego, który potem, może ustępując dowodom Skargi, stał się gorliwym stronnikiem kościoła katolickiego.

Wróciwszy do Warszawy, uczuł Skarga, iż siły coraz bardziej go opuszczają, prosił tedy króla, aby go zwolnił od jego obowiązków, aby nareszcie o sobie samym swobodniej pomyślał i do śmierci się nagotował. Uzyskawszy to, czego od lat dziesięciu się domagał, na wielkanoc 22 kwietnia 1612 zęgnął się z królem i senatem i dworem wszelakim. I to ostatnie jego kazanie z takim przyjęto affektem, że król, dwór jego i wszyscy słuchacze łzami się zalewali. Wyjechał z Krakowa w maju, aby w ustroniu wyłącznie oddać się modlitwie; ale wkrótce zateśnił do miejsca, gdzie najdłużej żył i pracował, i właśnie 29 czerwca w uroczystość swego patrona wrócił do Krakowa. Tu jeszcze przeżył trzy miesiące. „Nie mogąc pisać“, jak świadczy Fabian Birkowski, „gdy mu czasu zbywało od modlitwy—kałamarze robił, albo świece woskowe, albo klauzury do ksiąg, albo szkatułki pisarskie, chustki szły dla nowicyuszów, a przedtem jeszcze koszule i chustki na swą potrzebę sam rąbał.“ Wreszcie 27 września 1612 r. spokojnie dopaliła się lampa jego czystego żywota, „razem ze świecą, którą był zrobił przed ołtarz do Częstochowy.“ Nazajutrz, wśród ogromnej cizby ze wszystkich stanów, zacy Birkowski zęgnął zmarłego przesłannym kazaniem, wielbiąc jego cnoty i dziwną a jemu tylko daną wymowę, przez którą serca ludzkie trzymał w ręku swych i obracał niemi kędy chciał; a potomość czei w Skardze jednego z największych ludzi swoich, duszę wzniosłą, czystą i natchnioną,—swego proroka.

Wojciech Grochowski.

JAREMA,

studjum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICYI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Takie usposobienie stronnictwa dworskiego musiało także i na samego dziedzica wpływ swój wywrzeć. Przychodziły ze wszystkich stron skargi na Jaremę. Mechel żądał na seryo obniżenia arendy, bo Jarema porozpędzał pijących chłopów z karczmy. Powinowaci obitych nagabywali dziedzica, aby im zwrócił koszt leczenia. Słowem, z każdym dniem gromadziło się nad głową Jaremy coraz więcej chmur grozących burzą i piorunami.

Upojony jednak sukcessem, nie zważał na to Jarema. Jak niegdyś naród żydowski wybrał Saula na króla, z tej prostej przyczyny, że był o głowę wyższym od wszystkich Żydów,—tak młodzież nowowiejska wybrała sobie Jaremę na przewodnika, dlatego że pił więcej od innych, tańczył lepiej i dłużej od kowala, najrzeczniejszym był w bitkach i najskorszym do kija.

Ale nieprzyjazne mu stronnictwo dworskie zaczęło szczęście jego podkopywać, a nawet panna Zofia, która najdłużej Jaremę sprzyjała za to, że dla miłości posunął się aż do kradzieży kanarka, odstąpiła go teraz, widząc że Jarema wyprawia codziennie gorsze burdy.

Było już więc powszechne przeciw Jaremie zniechęcenie we dworze; resztę dokonał mandataryusz.

Pewnego bowiem poranku przyszedł mandataryusz do kancelaryi dziedzica i długo z nim rozmawiał.

Słupy kucharz, który przypadkiem miał względem mięsa jakiś do dziedzica interes, zatrzymał się, także przypadkiem, pod drzwiami kancelaryi. Słupi ludzie mają zazwyczaj słuch doskonały; więc rad nierad wysłuchał kucharz całą z mandataryuszem rozmowę.

Opowiadał później ogrodnikowi, jak mandataryusz coś o Szymku mówił i o tém, co ludzie coraz głośniej między sobą gadają, o złém życiu Jaremy i o potrzebie aby go z dworskiej służby uwolnić, inaczej dziedzic i mandataryusz będą mieli korowody z różnemi kommissyami, czego jednak obaj unikać powinni.

I musiał dobrze słyszeć słupy kucharz, bo w kilka dni potem zawołał Jaremę dziedzic do kancelaryi i długo, długo z nim rozmawiał. A gdy Jarema wyszedł na korytarz, przechodziła tamtędy panna Zofia i nie mówiąc, wcisnęła mu do ręki talara z Matką Boską. Jarema przyszedł do kredensu, zawiązał swoje manatki, a otarłszy łzy, zarzucił węzełek na plecy i ze dworu wyszedł.

Ogrodnik i kucharz dziwili się, że Jarema tak spokojnie jak baranek wyszedł z kredensu. Byli na to przygotowani, że jednemu i drugiemu zostawi jakąś pamiątkę na plecach, bo tak kazało im się spodziewać własne ich sumienie. Obaj przykucnęli w kuchni, a ogrodnik zalecał swemu przyjacielowi skuteczną przeciw Jaremie litanią do Najświętszej Panny, która go nigdy nie zawiodła. Kucharz powtarzał za ogrodnikiem i mówił przytęm w nawiasie:

— „Wieżo z kości słoniowej.... (Wy bo Jacenty niepotrzebnie judziliście zawsze pana na Jaremę) ...módl się....“

— „Oredowniczo nasza!.. mówił ogrodnik.... (To wy chodziliście Mateuszu do pana, donosząc że Jarema w karczmie)... módl się za nami!..“

— „Pocieszycielko nasza!.... wołał kucharz. (Albo to ja powiedział panu o Wawrzku?)... módl się za nami!..“

— „My grzeczni Ciebie Matko błagamy!.. (Ja mam czyste sumienie)... Przyczyni się za nami!..“

— „Kyrie elejzon.... (Czarta byście zjedli Jacenty, wy temu wszystkiemu winni, a teraz umywacie ręce).“

— „Chryste elejzon!... (Zjadłes ty dwa czarty!)...“

Mimo wszelkich nawiasem wtrąconych dodatków, skutkowało jednak litania, bo Jarema ani razu nie obejrzał się na kuchnię, gdzie dwaj przyjaciele pocili się ze strachu. Wreszcie na skrócie drogi pod figurą zniknął im zupełnie z oczu. Obaj odetchnęli, przeżegnali się i na znak zgody i przymierza świętego podali sobie ręce, przyrzekając sobie pomoc wzajemną w razie, gdyby jaki nowy intruz chciał niepotrzebną kontrolą zamieszać ich spokój domowy.

Biędni jednak sprzymierzeńcy nie mieli pokoju ni w dzień ni w nocy. Jarema stawał im zawsze przed oczyma. Włos jego kędzierzawy najeżał się do góry, oczy ciskały pioruny. Obaj przyjaciele pocili się pod pierzyną i odmawiali litanią do Najświętszej Panny; ale Jarema jak stał, tak stał przed nimi. Różnie tłumaczyli sobie to dziwne zjawisko. Mówili między sobą, że Jarema jest zabójcą Szymka i że dlatego straszny po nocach pocziwiał ludzi, a kto w czém zrobi jeden krok, musi zrobić i drugi. Więc obaj przyjaciele postanowili raz na zawsze pozbyć się swojej trwogi przed Jaremą, cokolwiekby to kosztować miało.

Do tego popychały ich różne wieści, które do ich uszu dochodziły. I tak: widziano Jaremę leżącego w grochu przy drodze, jaką zwykł był wieczorem chodzić kucharz z jakimś tajemniczym węzełkiem do swojej córki, która za zagrodnika poszła. Mówiono także iż Jarema zaglądał raz przez płot do ogrodu, w którym właśnie coś kopał ogrodnik. W karczmie miał coś powiedzieć, co dwóm przyjacielom mrowie w paciérz nagnało. Słowem, był czas ostateczny, aby się raz pozbyć tej trwogi ustawicznej.

Najbliższej niedzieli przyszli obaj do dziedzica i prosili go o pozwolenie udania się na nieszpory do Zagrody, drugiej majętności pana Nowowiejskiego, aby tam przed cudownym obrazem Matki Boskiej na pewną intencją pomodlić się. Pan Nowowiejski pozwolił im chętnie.

— I jakąż macie intencją? zapytał z uśmiechem.

Kucharz spojrział na ogrodnika, ogrodnik na kucharza i obaj poskrobali się w głowy. Po chwili ozwał się kucharz:

— My mamy intencją, wielmożny panie.... ..ot intencją... aby Bóg chronił wielmożnego pana od jakiego nieszczęścia.

Pan Nowowiejski uśmiechnął się, widząc przebiegłość sług swoich, wyrachowaną na jaki podarek.

— I jakież nieszczęście, prócz tego co Bóg na mnie zesłał, mogłoby mi grozić? zapytał po chwili.

Obaj przyjaciele poskrobali się znowu w głowy, spojrzeli na siebie i odchrząknęli. Ogrodnik ozwał się pierwszy:

— Nieszczęście! Alboż to trudno o nieszczęście?.. Wszystko wyszło jak siarka, cztery tygodnie ani kropli deszczu nie było! Gdyby iskra... poszłoby wszystko z płomieniem...

— Co ty mówisz? czyś oszalał? któż takie rzeczy gada? przerwał pan Nowowiejski, zegnając się z przestrochu.

— My-bo nie nie gadamy, odparł ogrodnik, ale... Jarema... Jarema coś tam gada...

Pan Nowowiejski spojrział uważnie na obu i na chwilę zamyslił się. Potem zapytał z boleścią:

— I cóż gadał Jarema? Wszak ja mu nie zlego nie uczyniłem.

Tutaj rozwinęli obaj sprzymierzeńcy wielką taktykę w wymijaniu stanowczych odpowiedzi. Kucharz skrobał się ustawicznie w głowę i mruczał coś niezrozumiale pod nosem. Tłumaczył się swoją kurzą ślepotą, że wieczorem nie poznaje ludzi, gdy kto do niego zagada. A ogrodnik udawał kompletnie głuchego i na pytania dziedzica niestosownie dawał odpowiedzi. Słowem po całogodzinnej rozmowie nic a nic nie dowiedział się pan Nowowiejski, prócz jakichś nieugruntowanych podejrzywań.

— Już ja tam temu wszystkiemu nie wierzę, co mówicie i czego nie mówicie, zakonkludował pan Nowowiejski. Jarema jest poczciwe chłopczyko. Rozłajdaczyl się ostatnimi czasy, to prawda, ale jestem przekonany, że jak biada mu się w uszy należy, to wejdzie w siebie, poprawi się i przyjdzie do mnie.

Z takim rezultatem odeszli obaj sprzymierzeńcy i udali się do Zagrody.

W Zagrodzie, oprócz cudownego obrazu Najświętszej Panny, mieszkał także i tak zwany mandataryusz. Po niesporach, odmówiwszy modlitwę do Matki Boskiej, wyszedł kucharz wraz z ogrodnikiem z kościoła i obaj udali się w kierunku do podsienia, gdzie mieszkał dygnitarz dominialny, który właśnie siedział w ganku w kurtce w kratki czerwone i palił fajkę na długim cybuchu.

— Czy nas obaczy? szeptał kucharz.

— Ja będę kaszlał, odparł ogrodnik.

Ale mimo kaszlu i chrząkania, jakoś nie spostrzegł ich sędzia. Musieli więc znowu zawrócić się i jeszcze raz przejść pod samym nosem mandataryusza. I teraz jakoś nie patrzył na nich. Przeszli więc trzeci raz i czwarty, czem zaintrygowany wice-król dziedzica, odchrząknął i krzyknął:

— A co tam do diabła szwendacie mi się pod nosem, he?

Kucharz szturchnął w bok ogrodnika i szepnął: teraz czas. A zbliżywszy się pierwszy do ganku, pokłonił się nisko przestrzegaczowi propinacyi i ustaw i rzekł:

— Przepraszamy wielmożnego pana sędziego, my szukamy Walentego, bo gdzieś nam się podział.

— A po co tutaj przysłać? zapytała czerwono kratkowana sprawiedliwość miejscowa.

— Na nieszpory, wielmożny panie, była odpowiedź.

— Wszak macie w Nowejwsi nową cerkiew? zarzucił indagacyjny sędzia.

Kucharz spojrział na ogrodnika, ogrodnik na kucharza, a pierwszy z nich ozwał się znowu tak samo jak do dziedzica. Mówił o intencji do cudownego obrazu, a gdy o tej intencji coś się dalej zgadzało, wspomnieli obaj o czterotygodniowej posusze, o stajni, która jest pod słomą tuż obok dworu, o pożarach w okolicy... i w końcu nawiasem wspomnieli o Jaremie, o jego kędzierzawych, zawsze rozczochranych włosach, o kiju ogromnym, który zwykł nosić odkąd się ze służby oddalił i t. p.

Mandataryusz słuchał z powagą, przechylając głowę to w tę, to w ową stronę, a wydmuchnąwszy w końcu kłęb dymu, pomyślał sobie, tak jak każdy mandataryusz w podobnym położeniu byłby sobie pomyślał:

— Kucharz i ogrodnik przyszli niezawodnie do mnie z denuncjacją, że Jarema chce dwór podpalić. Ustawa nakazuje mi sporządzić dokładny protokół „fracta pagina“ spisany. Ale pisarzy wysłałem na słomki, a samemu nie chce mi się pisać. Do tego sprawa ta przysporzyłaby mi aktów i mnóstwo dała roboty. Jak każdy mandataryusz unikam niepotrzebnej pisaniny i wolę takiej sprawie od razu kark skrócić. Jarema wydawał mi się zawsze jako indywiduum podejrzanego, ein bösartiges, verdächtiges Individuum; Gesinde-Ordnung (1) nakazuje, aby podobne indywidua chwycić i do wojska oddać. Więc krótka będzie sprawa. Jarema zapakuję do kamaszów, a tym sposobem będę miał spokój nawet i wtedy, gdy

z cyrkulu przyjdzie coś o Szymka, którego prawdopodobnie ten łotr utopił. I tak Kuba Wróny obiecał mi dać 50 guldenów, jeżeli syna jego nie odstawię do wojska. Jarema pójdzie za niego: zwei Fliegen auf einen Schlag.

Tak myślał sobie mandataryusz i tak też uczynić postanowił. Zanim jednak opiszemy, jakie wrażenie na Jaremie zrobiła ta uchwała wielkorządcy dominialnego i jak zresztą cała gromada zapatrywała się na funkcję jego w Zagrodzie i Nowejwsi, musimy zrobić małe zboczenie i czytelnikom nieznanym dawnych instytucji galicyjskich, dać jakie takie wyobrażenie o tym szczególnym stosunków naszych produkcje. Jeżeli tej instytucji bliżej się przypatrzymy, wyjaśni nam się niejedna zagadka z ostatnich dziejów naszego kraju.

Dawny system rządu, datujący się od czasów cesarza Józefa, wziął u nas lud wiejski w opiekę, orzekając bardzo słusznie jego małoletniość. Obok zasady tej bezwzględnej opieki, zdał jednak najuczciwszą część władzy nad nim na dziedzica wsi. Dziedzic był w obec rządu za lud wiejski odpowiedzialnym, to jest: dziedzic wybierał od niego podatki, pełnił służbę policyjną, łapał i do kryminału oddawał złoczyńców, wypędzał podwoły, kwaterował wojsko, odstawił rekrutów i egzekwował co rząd postanowił. Wszystko to było niby przywilejem dominialnym. Za te przywileje ponosił dziedzic niektóre ciężary, dotyczące się kościoła i oświaty publicznej.

Dziedzic jednak musiał dla tak uprzywilejowanego stanowiska posiadać pewne kwalifikacje, a jeśli któremu tych kwalifikacji brakowało, to mógł kazać się zastąpić przez pewne indywiduum, które w poczuciu godności swojej nazwało się „sędzią“, albo poetyczniej „reprezentantem dominialnym“, „ulgo zaś znanem było pod nazwą „mandataryusz“.

Aby się stać godnym tego tytułu i chleba, potrzeba było skończyć kilka klasz nauk elementarnych, być niejaki czas pisarzem dominialnym, a w upatrzonej porze przejechać się do miasta obwodowego i tamże w urzędzie zdać egzamen z potrzebnych do przyszłego stanowiska wiadomości. Gdy ten egzamen nie najgorzej wypadł, a indywiduum prócz tego nie miało żadnych niełojalnych zarzutów przeciw sobie, odbierano od niego rodzaj przyrzeczenia czy przysięgi urzędowej, że w myśl rządu i ustaw krajowych pełnić będzie swoje obowiązki. Po tym obrzędzie dano mu do rąk duży arkusz, z dużą cyrkularną pieczęcią, która w obec dziedziców służyła mu za kredytowe ze strony rządu wystawioną.

Z tym jednak arkuszem w ręku był tak zwany „egzaminowany mandataryusz“ nader biednym stworzeniem. Był bez chleba i musiał dopiero wyglądać miłosierdzia Bożego. Zazwyczaj około św. Jana wyjeżdżał budką żydowską do Lwowa i starał się z Żydami siedzącymi na ławkach przed hotelami, a często i z lokajami zabrać znajomość; tą bowiem tylko drogą mógł się dochrapać kawałka chleba.

Już to znaną powszechnie jest słabość naszej szlachty do Żydka. Zaledwie szlachcic tłumok rozpakował, już Żydek-faktor wszedł do pokoju i pomógł mu odpinać sprzączki. I zaraz odebrał zlecenia, aby konie kazał podkuć, dla jejności kupić krulek, od modniarki przynosił kapelusze i wystarał się dla dworu o trzy potrzebne indywidua: mandataryusza, guberniera do małego synka i lokaja.

Żydek zawiązał się zrecznie koło wszystkiego, a za godzinę stały w przedpokoju dwa worki z krupami, słoło pudło z kapeluszem i stali w zgodzie bezprzekładnie; mandataryusz, gubernier i lokaj.

Szlachcic wołał jednego po drugim do siebie i robił ugodę. Tylko oczywiście worki nie ruszały się z miejsca, a dziedzic sam musiał przyjść do nich i w treść ich zajrzeć.

Tym sposobem przyszedł mandataryusz do chleba. Szlachcic płać mu zazwyczaj od 120 do 200 guldenów rocznie, dawał pomieszkanie i kilkadziesiąt korcy zboża, — rozumie się dopiero za okazaniem owego arkusza cyrkularnego, z dużą, opłatkową pieczęcią. Z tego najmniej wziął Żydek 50 guldenów za faktorne, a nawet wyniósł sobie jeszcze kilka skórek ciętych, co to na wsi nic nie kosztują.

W umówionym czasie, na wozach dziedzica, zjeżdżał mandataryusz do wsi. Obejrawszy areszty i dyby, zwołał gromadę i wyłożył im w sposób zrozumiały, jakie ona obowiązki ma względem reprezentanta dominialnego i samego dziedzica. O państwie nie wspominał najczęściej, bo wiedział że pod słowem „państwo“ nie mogła sobie gromada nikogo innego, wyobrażać, jak dziedzica i dziedziczkę. Za to tak wielki nacisk położył na wyrestaurowane areszty i ponitowane dyby, że go cała gromada z największą pokorą do swojej wiadomości przyjęła, rozchodząc się w uczuciu świętej bojaźni, jakiej tylko wybrani w niebie używać mają.

Są jeszcze dziś ludzie (oby to była nieprawda!), którzy żałują utraty przywilejów dominialnych. Jakkolwiek ten żal może pochodzić z zasady, jednak nierozumem jest w tym, czegośmy doświadczyli w wyjątkowym naszym położeniu. Czémże bowiem były owe przywileje dominialne? Wybierał podatki, odstawił rekrutów, łapał złodziei i włóczęgów i t. p. — Któż to wszystko robił? Dziedzic, albo ten co go zastępował i miał arkusz z pieczęcią cyrkularną.

Czém był ów mandataryusz? kogo widziała w nim gromada?

W założeniu był mandataryusz ostatniem ogniwem władzy rządowej. Rząd bowiem odbierał od niego egzamen i przysięgę i wydawał mu arkusz z pieczęcią. Gromada jednak inaczej zapatrywała się na mandataryusza. Ona wiedziała, że dziedzic go w służbę przyjął i że go każdego czasu odpędzić może. Widziała, że mandataryusz na dworskich wozach zjechał do wsi, że dziedzic dał mu mieszkanie w swoim budynku, że leśny wydaje mu drzewo na opał, a kassyer albo arendarz wypłaca pensją z dochodów skarbu. Do tego gromada zwozi mu nieraz worki z żytem i pszenicą z pańskiego śpichlerza, a owego arkusza z cyrkularną pieczęcią nigdy nie widziała.

Z tego wnosiła każda gromada, że mandataryusz jest sługą dziedzica, tak jak ekonom, i że wszystko co robi, robi za rozkazem dziedzica. W tym przekonaniu utrzymywało ją jeszcze błędne mniemanie, że gromada zostaje pod bezwzględną opieką rządu, przeciw której dziedzic z mandataryuszem intrygują.

Taki przywilej nie mógł dobrych wydać owoców. Już założony był z góry rozdział między gromadą a dziedzicem i postawił ich z czasem przeciw sobie, jak dwa nieprzyjazne żywioły.

Do rozkrzewiania rzucanego ziarna przyczyniły się także słabości ludzkie. Dwulicowa pozycja mandataryusza była nader trudna. Był on niby reprezentantem władzy rządowej i reprezentantem przywilejów dziedzica. Ztamtąd miał arkusz z pieczęcią, od tego zaś guldeny, żyto, pomieszkanie i opał. Potrzeba było nadzwyczajnej przebiegłości, aby jedno i drugie dłuższy czas utrzymać. A że cyrkul był dalej od dworu, toż trzeba było więcej oglądać się na dwór; potrzeba było zadość czynić wszelkim chwilowym wybrykom dziedzica, nawet i w najślabstych jego chwilach we wszystkim mu dogadzać, a często życzenia jego uprzedzać. Że to wszystko pisało się na grzbiecie gromady, o tem dosyć napomknąć, a że to wszystko działo się nawet bez wiedzy dziedzica, najczęściej w osobistym interesie mandataryusza, tego dowodzić nie potrzebujemy, jeżeli zważymy na różne słabości ludzkie z czysto psychologicznego stanowiska. Wykonawstwo takiej, żadną kontrolą nieograniczonej władzy, miało zanadto wiele pokusy, aby się jej oprzeć można było.

Ztąd wiele źródeł otwierało się tutaj korzyściom osobistym, a że urzędy takie rekrutowały się po większej części z ludzi bez żadnego gruntownego wykształcenia, więc i błędy ich były większe i donioślejsze. A wszystko to spadało na dziedzica, bo tak widział rzeczy słaby rozum gromady.

Jakież tu pole miały do intryg społecznych złość i przewrotność?

Mandataryusz kazał bić chłopów, którzy na pańszczyznę nie wyszli; mandataryusz sprzedawał ostatnią krowę biednym sierotom za zaległe podatki; mandataryusz wydawał paszporty, gdy który za zarobkiem na kilka dni chciał się oddalić; mandataryusz gnębił chłopską chudobę, gdy w dworskie łany wlażał: słowem, wszystko co było „odiosum“ robił mandataryusz, czyli za jego plecami dziedzic.

Po tem zboczeniu, wróćmy do Zagrody, gdzie na ganku przed mandataryuszem, w pokornej postawie, stoją kucharz i ogrodnik.

Pan Garalewicz, reprezentant dominialny Nowejwsi i Zagrody, było mandataryusz starszy daty, który chłopu nie miał już Boskie stworzenie, dziedzicowi zawsze baki świecił, a urzędników obwodowych gościł u siebie z wytwornością sybaryty.

Prawdopodobne śledztwo Jaremy i w perspektywie ukazujące się stopy akt i pisaniny bez końca, zatrwożyły spokojne serce mandataryusza, i postanowił całej tej sprawie kark skrócić przez oddanie Jaremy w rekruty. Cokolwiekby potem nastąpiło mogło, jużby Jarema należał do sądu wojkowego.

Pan Garalewicz był człowiekiem należytej energii, i tak się zrecznie około sprawy zawiązał, że za kilka dni wyglądał już Jarema na świat Boży przez małe okienko aresztu dominialnego, zakuty w ciężkie, podwójne dyby.

Co sobie wtenczas Jarema w kędzierzawej swojej rozbierał, trudno wiedzieć. Był smutny, a często zgrzytnął zębami. Zdaje się mi jakaś jaśniejsza myśl przebiegła mu po

(1) Prawo dotyczące służebnych.

twarz rozjaśnił i uśmiechnął się. Zapewne obraz jasnowłosej Nastusi przemknął mu wtedy przed oczyma....

Jarema wiedział co go czeka. Wiedział, że w kilka dni będzie żołnierzem, i wiedział także, iż w obrębie władzy reprezentantadominalnego zawsze w ten sposób rekrutowano do wojska.

Nie dziwił się więc wcale, że go wsadzono do kozy i założono mu na nogi i ręce dyby piętnastofuntowe.

Lżej mu się nieco zrobiło, gdy po kilku tygodniach wyszedł z ciemnego aresztu i wsiadł na wóz, który pod eskortą chłopów miał go odwieźć do miasta obwodowego.

I dziwna rzecz: chłopom eskortującym go z pałkami wcale nie miał tego za złe. Rozmawiał z nimi uprzejmie; mołojce wyszli tłumem przed karczmę, aby pożegnać swego ukochanego wodza, i chórem zaśpiewali, że on idzie od nich w cudze strony, idzie służyć na „czudzyńi“ i zapomni o dziewczynie z czarnymi oczami.

Jarema rozplakał się i zakrył oczy. Zdawało mu się, że między ciekawymi ujrzał także i Nastusię...

Dziedziec przejeżdżał właśnie koło karczmy. Obaczysz tłum ludzi, zapytał się stojącego opodal mandataryusza co to znaczy. Mandataryusz machnął ręką i powiedział, że to zwykła wyprawa rekrutów, a mając właśnie coś o kradzieży w lasach dziedzicowi zraportować, wziął go z sobą do kancelaryi. Tymczasem odjechały wozy z rekrutami.

Jarema ujrzał na skrócie drogi ściany dworu. Jakos gwałtownie serce w nim uderzyło i sam nie wiedział dlaczego pięście mu się zacisnęły.

W oknie od kuchni wyglądali kucharz i ogrodnik, odmawiając litanią do Najświętszej Panny za dobre powodzenie Jaremy. Smutnie zrobiło się pannie Zofii, gdy usłyszała melodię mołojców.

IV.

Szkoła.

Za kilka dni ostrzyżono Jareme, wpakowano w biały kabat z zielonemi wylogami, a nogi ściśnięto w kamasze. Nie obeszło się bez szturchańców w brzuch kułakami, bo spodnie były nieco ciasne, a kabat nie chciał się zapiąć. Gdy jednak guziki wlażyły do dziurki, chociaż Jarema tchu nie stało, był już rekrut skończony i mógł po dziedzińcu kazarni (1) czasem się przechadzać. Na ulicę nie wypuszczano go jeszcze, bo ruchy jego w świeżym mundurze nie były dosyć swobodne. Musiał wprzód przyzwyczaić się ruszać i chodzić, na którą to naukę poświęcał ośm godzin dziennie. Przytém obznajmiano go z wyrazami, co znaczy halbrechts! halblinks! a gdy to i coś więcej wiedział, mógł już w kilka tygodni po raz pierwszy wyjść na rynek miasta obwodowego i tam należycie się rozpatrzeć. Kaprał na wychodnym przypominał mu tylko, żeby nie zapominał że reprezentuje dziecko pułkowe i dlatego żeby nie nie ukradł i niepowalany wrócił do kazarni o godzinie dziewiętej.

Jarema wyszedł na ulicę po kilkotygodniowym areszcie, ale zamiast gapić się po przechodniach i kamienicach, rozpoczął głęboko rozmyślać nad sobą.

Chleb żołnierski wydawał mu się jeszcze zbyt gorzkim, aby mógł w nim zasmakować. Świtem spędzano go z siennika i gnano do musztry, a gdy już z sił opadał, przypędzano go do kazarni i kazano czyścić cały rynsztunek. Obiad żołnierski wielce się różnił od obiadu w kredensie pańskim, a nawet od obiadu chłopskiego. Chłop dał mu przynajmniej misę całą grochu z kapustą, a drugą kaszy ze słoniną i kartofli do tego „à discrétion.“ Chleba krajał co chciał. Wolno mu było przytém paska popuścić i najmniej godzinę po obiedzie poleżeć. W kazarni wszystko było inaczej. Kaprał i tak krzyczał na niego, że ma wielki brzuch i bił w niego pięściami, aby kabat się zapiął; a na obiad dostał kęs mięsa z jednym kneblem, (2) co za ledwie w gębie poczuł. Do tego cały Boży dzień służba i egzercyrka; (3) biedny Jarema nie miał czasu ani przeznaczyć się, ani pomysłować o Nastusi białowłosej, ani o dworze nowowiejskim.

Teraz więc, gdy mu pozwolono wyjść na miasto, jakież to stek myśli cisnął mu się nagle do głowy! Jak smutno wypadły jego medytacje, gdy sobie

przypominał kredens nowowiejski, karczmę, cmentarz, a nawet błonie, na którym pał bydło!

W tej czarnej melancholii szturchnął go ktoś w bok i za kabat pociągnął.

— Jarema! Mordkerl Jarema! Jak on wygląda w tym kabacie! zawołał Amdsiner Huber.

Biedny Jarema ucieszył się, jakby Pana Boga za nogi złapał. Przecież znalazł choć jedną duszę pocztową, przed którą mógł się poskarżyć i serce swoje otworzyć.

— Jarema, mówił dalej Amdsiner, jabym cię zaprowadził do mojej cymry, (4) ale to być nie może. Żona moja zła jak osa. Onaby ci ten kabat pomyjami oblała.

— No, to pogadajmy tak, panie Huber, odparł pokornie Jarema.

— Ba, tak nie idzie — tu na ulicy... Czy masz co pieniędzy? zapytał po chwili Huber.

— Mam talara z Matką Boską — odpowiedział Jarema.

— No to dobrze, pójdziemy do katolika na szklankę piwa, zakonkludował Huber.

Był to ten sam talar, który mu w sieni wcisnęła do ręki panna Zofia.

W kilka chwil siedzieli obaj za długim stołem w szynku, a dwie ogromne szklanice piwa stały przed nimi. Huber wypyttywał Jareme, jakim sposobem dostał się do kamaszów i słuchał go z należytą uwagą, a gdy rekrut skończył, pociągnął Huber potężny haust ze szklanicy i rzekł:

— Dziękuj Bogu, że się tak stało. Chleb żołnierski jest wprawdzie gorzki, ale też i dworski do niego nie doprowadzi. Ohoho! znam ja panów waszych! Oniby z człowieka skórę zdarli i duszę z gardła wyjęli, gdyby to można było. I cóż masz teraz z swojej wysługi we dworze? Oto, powinęła ci się noga, jak każdemu człowiekowi powinąć się może, zaraz wypędził cię dziedzic ze dworu, a potem szepnął mandataryuszowi do ucha: „Garbulewicz, Jarema mi się nie podoba!“ A usłużny Garbulewicz zakuł cię w dyby i w kamasze wpakował! He, czy nie tak?...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

1 maja.

Dzienniki coraz więcej mówią o prawdopodobieństwie starcia między Anglią a Stanami Zjednoczonymi, nie dając wszakże na to żadnych uzasadnionych dowodów. Nawet wymiana not dyplomatycznych między dwoma gabinetami nie upoważnia do tego wniosku. Przypomnijmy tylko sobie sprawę Trentu, a z łatwością przekonamy się, że ani ultimatum lorda Russell, ani szorstka nota p. Seward, w obec coraz cięższych klęsk Unii przez separatystów zadawanych, do wojny doprowadzić nie może. Ameryka wie dobrze, że wojna z Anglią, to — uznanie Stanów południowych, to — rozpadnięcie się Unii. Niema też najmniejszej wątpliwości, że gabinet waszyngtoński ustąpi na legationom rządu angielskiego i sprawa „Peterhoffa“ tudzież innych zabranych statków w najzgodniejszy sposób załatwioną zostanie. Sir Lewis minister wojny w Londynie, umarł z przeziębienia. Strata tego znakomitego męża, uważanego przez opinię publiczną za domniemanego następcę lorda Palmerstona, wielkie w Anglii uczyniła wrażenie. Książę Wali, wraz z małżonką, wybiera się do Francji.

Według wiadomości odebranych z Meksyku, bombardowanie twierdzy Puebla rozpoczęło się w dniu 10 kwietnia. Jednocześnie dywizja Bazaine, którą generał Forey wysłał dla przecięcia odwrotu wojsku meksykańskiemu, pociągnąć miała ku stolicy i zajęła podobno Meksyk w dniu 15 kwietnia. Monitor otrzymał także wiadomości z Kochinchiny. Do dnia 8 marca spokojność na wszystkich punktach przywróconą została, już to z powodu dobrowolnego zaniechania wojny przez Annamitów w prowincjach Hoa, Mytho i Go Kong, już w skutek energicznych działań wice-admirała Bonard. W Hué, stolicy annamijskiej, budują dom dla poselstwa francuskiego i hiszpańskiego.

Dziennik urzędowy z d. 28 kwietnia donosi, że książę Napoleon z małżonką udaje się w podróż do Egiptu i Palestyny. Ruch w kwestyi wyborczej w Paryżu nie ustaje. Dwa ostrzeżenia udzielone dwom dziennikom za artykuły w kwestyi wyborczej, silnie wywołały wrażenie. Wybory generalne odbędą się w d. 31 maja i 4 czerwca. Sądzą że cesarz Napoleon wystąpi z manifestem wyborczym do ludu francuskiego. Monitor donosi w d. 26 kwietnia, że trudności opóźniające przyjęcie korony helleńskiej przez księcia duńskiego, są bliskie załatwienia. Rząd zaproponował zebranie w Londynie konferencji, w którejby wzięły udział trzy opiekuńcze mocarstwa. P. Fould otrzymał podobno jednomiesięczny urlop.

Pomimo protestacji rządów niemieckich, król duński trwa w zamiarze niecofnięcia się z obranej przez siebie drogi. Na posiedzeniu nadzwyczajnym rady państwa, prezes ministrów, p. Hall, odczytał w d. 22 kwietnia mowę królewską, w której Fryderyk VII oświadcza, że dekret z d. 30 marca miał właśnie na celu: zadowolić Związek niemiecki przez nadanie większego samorządu Holsztynowi. Wspomniałszy dalej o różnych projektach dotyczących Holsztynu z jednej strony, oraz królestwa i Szlezewigu z drugiej, monarcha duński oświadcza, że ma niewątpliwą nadzieję, iż rada państwa nie odmówi swego poparcia rządowi, celem utrzymania niepodległości Danii w tych trudnych okolicznościach.

Ostatnie depesze donoszą, że eskadra federalna zaniechała ataku na Charleston. Północni rozpoczęli bitwę od bombardowania fortu Sumter przez dziewięć statków pancernych, z odległości 3800 sążni. Atak ten nie był pomyślnym dla federalistów, jeden bowiem statek zatonił od machin piekielnych podwodnych, inne zaś cofnęły się z pola bitwy. Mocarstwa morskie z niecierpliwością oczekują szczegółowego raportu o tej bitwie, w której nowo obmyślane okręty pancernowe po raz pierwszy były w działaniu. Raport ten stanowić może o losie przyszłym całego systemu pancernego. Depesza z Londynu, z d. 26 kwietnia, zawiadamia, że federaliści nie mogli wysłać posłków generałowi Forster znajdującemu się w Little-Washingtonie, i że wskutek tego Forster zmuszonym był poddać się separatystom. Trzydzieści tysięcy separatystów stanęło między Waszyngtonem i Newbern. Król włoski wraz z księciem Carignan, oddali wizytę baronowi Ricasoli w zamku Broglio. Głoszą że możliwy powrót do władzy barona Ricasoli, jako prezesa ministrów, z pomocą hr. Arese w ministerium spraw zagranicznych, pozostaje w związku z temi odwiedzinami. Dzienniki zamieściły w ostatnich dniach bieżącego tygodnia depeszę z Turynu, twierdzącą że gabinet tuileryjski wysłał notę do dworu rzymskiego, z żądaniem ogłoszenia przyboiecznych przez ojca św. reform. Otóż France, z d. 28 kwietnia, w artykule posiadającym cechę półurzędową, stanowczo zaprzecza temu, uważając przesłanie noty jako przedwczesne i bezużyteczne. Zdrowie papieża polepszyło się nieco. Bandytyzm w Neapolitańskim dotąd poskromionym nie został.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constitut. France.)

Ostatnie depesze. Paryż 29 kwietnia. Monitor ogłasza następującą depeszę z Orizaba: dowódca brygady Mirandol pobił wojska meksykańskie w okolicy Cholula, (4 1/2 mili za Pueblą od strony Meksyku). Zwycięstwo stanowcze: Meksykanie stracili 200 zabitych i 50 jeńców. Straty Francuzów wynoszą 40 rannych, w tej liczbie dwóch zabitych. Korpus francuski zajął drogę między Pueblą i Meksykiem.

Londyn 29 kwietnia. Zapewniają że Seward gotów jest zwrócić okręt „Peterhoff.“ Według wiadomości z Meksyku, odebranych przez New-York, Francuzi otoczyli Pueblę i zamknęli wszystkie wojska generała Comonfort, w odległości pół mili francuskiej od fortecy.

Londyn 27 kwietnia. Daily Telegraph donosi, że rząd angielski postanowił wysłać wszystkie statki opancerzone do Indji Zachodnich, nie wyłączając Warrior i Black-prince.

Turyn 29 kwietnia. Książę Napoleon z małżonką przyjechali do Livorno i bezzwłocznie udali się w dalszą podróż do Pizy.

Turyn 27 kwietnia. Wieść krąży, iż w skutek zabiegów księcia Merode i stronnictwa dworskiego, papież przyjmie dymissyą kardynała Antonellego.

Madryt 27 kwietnia. Książę Brabantu przybył do Madrytu; jutro wyjeżdża do Aranjuez.

(1) Koszar.

(2) Okragły klusek z maki i bułek krajanych.

(3) Pokoju.